

WRONA ^Z MADENFAL



WRONA
Z MADENFAL

Autor: Więzień Gjaladenu

Opracowanie redakcyjne i korekta: Daria Raczkowiak

Opracowanie graficzne: Mikołaj Staszek

Skład i łamanie tekstu: J.R. Jaworski

Copyright © Przemysław Osowski, 2025

ISBN 978-83-976423-0-0

Każdy rozdział traktowałem jak cegłę. Tę samą, z której wznosicie domy. Nie każda była równa, nie wszystkie gładkie ani doskonale wypalone. Zdarzały się takie, które pękały pod palcami, i takie, które wydawały się zbyt ciężkie, by je udźwignąć. Wszystkie jednak miały swoje miejsce i były potrzebne.

Ta opowieść nie narodziła się nagle. Wyłaniała się powoli z ciszy, z niepokoju, z pytań zadawanych szeptem i z obrazów nieustannie powracających w myślach. Czasem przybierała postać muru stawianego w geście obrony. Innym razem stawała się ścianą dającą oparcie w chwili słabości. Bywała też przepaścią, przy której należało się zatrzymać i spojrzeć w głąb.

Skoro trzymasz tę książkę w dłoniach, oznacza to, że przekroczyłeś próg domu, zbudowanego z moich myśli, lęków i snów. Przechodź przez jego korytarze uważnie. Być może odnajdziesz w nich część siebie.

„Lepiej zaliczać się do niektórych, niż do wszystkich.”

– Andrzej Sapkowski, *Krew Elfów*

Prolog

Mgławice Gjaladenu

Hjalkan stał oparty o zimny mur, z rękami splecionymi na piersi. Kamień śmierdzął stęchlizną i wilgocią, która przez lata wsiąkała w spękaną powierzchnię. Kaptur rzucał cień na jego twarz, ukrywając rysy, lecz gdy w końcu przemówił, głos brzmiał zbyt charakterystycznie, by można go było pomylić.

Obok niego stał Visander, niegdyś jeden z dowódców królewskich wojsk, teraz człowiek, który błądzi na granicy hańby.

– Nie mam czasu, by osobiście się tym zająć – tłumaczył mu Hjalkan. – Muszę ją odnaleźć. Wrona jest kluczem. Gdzieś za mgławicami czeka reszta świata.

– Cz... czym? – wyjąkał, a dreszcz przebiegł mu po karku.

– Wszystko musi pozostać tajemnicą – powiedział cicho, pochylając się ku Visanderowi. – Kylhar Skoroświt musi umrzeć. To rozkaz króla, a jego słowo jest prawem. Moje sowy już tropią ślad Buntownika. Wkrótce odnajdą cel. W międzyczasie ruszysz z najemnikami i dopilnujesz, by nasz stary przyjaciel wyzionął ducha.

Visander milczał, a on mówił dalej, powoli, niemal nie-
dbale, jakby nie chodziło o nic więcej, niż przedstawienie
pionka na planszy.

– Następca tronu nie żyje, a Skoroświt zamierza obrócić
świat przeciw królowi. Rozpowie, że to on otruł księcia. Jeśli
ludzie uwierzą w tę wersję, królestwo stanie w ogniu. Nie
możemy do tego dopuścić.

Zamilkł na chwilę, pozwalając, by ciężar zadania osiadł
na ramionach rozmówcy.

– Gdy powrócisz z jego głową, otrzymasz wszystko,
o czym marzyłeś i jeszcze więcej.

Cisza między nimi zgęstniała. Gdzieś w oddali zawył
wiatr. Visander zacisnął dłonie, czując, jak ogarnia go coś
więcej niż obowiązek – żądza odzyskania dawnej warto-
ści, pragnienie, które paliło go od środka, odkąd popadł
w niełaskę króla. Teraz los podsuwał mu szansę, jakiej nie
mógł zignorować. Wystarczyło tylko wyciągnąć po nią rękę...
i splamić ją krwią.

– Nim wyruszę, powiedz mi jedno – odezwał się w koń-
cu. – O co tak naprawdę ci chodzi?

Hjalkan skinął głową. Myśli przebiegły mu przez umysł
jak stado dzikich koni, lecz jedna z nich wybrzmiała najgłoś-
niej: *Ta wiedza i tak nie będzie ci potrzebna.*

– Opowiem ci historię, która być może pozwoli ci coś zro-
zumieć – zaczął. – Na jednej z wyniosłych wież Madenfal żył
niegdyś strażnik o czujnych oczach, nieustannie badających
horyzont w poszukiwaniu obcych wojsk i wszelkich niepożą-
danych przybyszów. Nie był jednak sam. W wieży mieszkał
również jego syn Bolko, chłopiec o sercu wielkim jak niebo
i dłoniach, które potrafiły leczyć najmniejsze stworzenia. Psa
z kulawą nogą, srokę ze złamanym skrzydłem, a nawet chore
koty i króliki. Wszystkie zwierzęta znajdowały w nim swo-
jego opiekuna. Miał w sobie coś, co budziło zaufanie nawet

w najbardziej złęcznionych istotach. Pewnego dnia, gdy obserwował miasto z wysokości murów, tuż pod jego stopy spadła ranna wrona. Jej czarne pióra były posklejane krwią, a jedno skrzydło zwisało bezwładnie. Przez wiele dni z oddaniem doglądał ptaka, karmił go i trwał przy nim od świtu do zmierzchu. Nie wiedział jeszcze, że ten jeden gest na zawsze odmieni jego los. Nocą, gdy księżyc zawisł nisko nad miastem, a cisza spowiła świat, Bolko przebudził się i zerknął na posłanie wrony. Nie było tam już zwykłego ptaka. A może i był, lecz nie taki, jakiego znałby człowiek. Szpony, czarne jak obsydian skąpany w smolistej nocy, pochłaniały całe światło. Oczy jarzyły się złowieszczą poświatą, w której lśniły cienie upadłych królestw. To nie była zwyczajna wrona... to był omen. Zwiastun nieszczęść, szept nadchodzącej zguby. – Gdy z ust wydobywały się kolejne słowa, powierzchnia skóry dowódcy drżała delikatnie. – Najgorsze jednak było to, że opis tego ptaka pokrywał się z istotą, którą niedawno dostrzeżono, także w Madenfal. Na jednym ze szponów nosiła znamię – wyrytą runę, wypaloną w starym języku. Tak dawniej znakowano te, które wysyłano za mgławice, tam, gdzie świat się kończył, a noc miała własne imię. Według całego kontynentu żadna dotąd nie powróciła. Wszyscy byli przekonani, że nie sposób przedostać się na drugą stronę. A jednak ta wrona przemówiła do chłopca ludzkim głosem: „Drogi Bolku! Okazałeś serce w godzinie mej słabości, choć nie wiedziałeś, kim jestem. Musisz wiedzieć, że nie należę do zwykłych skrzydlatych stworzeń. Jestem królem wron. My, ptaki, nigdy nie zapominamy przysług. Zostawiam ci dar, srebrną trąbkę. Jeśli kiedykolwiek znajdziesz się w potrzebie, zagraj na niej, a przybędę do ciebie wraz z moimi poddanymi. A teraz żegnaj!”. Po tych słowach ptak rozpostarł skrzydła i w mgnieniu oka zniknął w mroku nocy. Na posłaniu pozostała jedynie trąbka, lśniąca w zimnym

blasku księżyca. Mijały lata. Bolko dorósł i przejął obowiązki ojca, strzegąc murów Madenfal. Wydawało się, że owa noc była jedynie snem, mglistym wspomnieniem dzieciństwa. Aż do dnia, gdy nadciągnęło zagrożenie – wroga armia stanęła u bram miasta. Rozpoczęło się oblężenie, a los królestwa wydawał się przesądzony. Wtedy Bolko przypomniał sobie króla wron i jego obietnicę. Przez lata traktował ją jako dziecięce bajanie, ale w obliczu takiego niebezpieczeństwa należało wykorzystać każdą szansę na ocalenie. Ze starego kufra wydobył pokrytą kurzem trąbkę, wspiał się na najwyższą wieżę i zadął w nią z całych sił, wygrywając melodię. I oto nadeszło to, czego nikt nie mógł przewidzieć. Na horyzoncie zakotłował się czarny wir, niczym mroczna nawałnica, rosnąc i gęstniejąc, aż całe niebo nad Madenfal spowiła dusząca ciemność. Nagle z tej piekielnej otchłani wydarły się tysiące wron. Ich skrzek niósł się po murach miasta, przyprawiając obrońców i najeźdźców o lodowaty dreszcz. Ptaki uderzyły na wrocie wojska z wściekłością burzy. Ostre dzioby wwierały się w oczy i gardła, szpony rozdzierały skórę do kości, a skrzydła smagały niczym bicz. Żołnierze padali na kolana, osłaniając głowy, lecz nie było ucieczki. Wrony były jak żywa plaga, jak gniew samego nieba.

– Ale przecież to tylko legenda, prawda?

– Też tak kiedyś myślałem – odparł Hjalkan, a spod kaptaura błysnęły oczy, żarzące się niczym węglem w popiele. – Ale czasami rzeczy uznawane za wytwory wyobraźni okazują się bardziej rzeczywiste niż wszystko, co znamy. Z kontynentu nie ma ucieczki. Minęły setki lat, a wciąż otaczają nas mgławice – tajemnicze obłoki trzymające nas w uścisku. Obudź się. Gjaladen jest zamknięty.

Zimna stal

302400 uderzeń serca później

To nie był zwyczajny chłód, który tylko marszczył wodę i osiadał na liściach. Było w nim coś głębszego, coś, co wkra-
dało się pod skórę, przenikało aż do kości. Chłopiec obracał
w palcach pestki słonecznika, jakby rachował nie dni, lecz
szanse na przetrwanie.

– Od dawna nie nawiedził mnie żaden koszmar – zauwa-
żył, przyglądając się zagrodzie pogrążonej we śnie.

Miał na imię Sato, a spowodowane długą jazdą rany koił
nie maścią, lecz słodką myślą o zemście.

– To dlatego, że jeszcze nikogo nie zabiłeś – powie-
dział dowódca, odwracając głowę. Przez otwory w hełmie
z porożami wydobywały się kłęby pary, gdy kontynuował:
– Gdy miałem dziewięć lat, zabiłem własnego ojca. Patrzyłem,
jak jego wnętrzności rozlewają się po ziemi. Od tamtej chwi-
li już nigdy nie zaznałem spokojnego snu. Świat zrobił się
ciemniejszy, bardziej obcy... Kiedy odbierasz życie, wspo-
mnienia zmieniają się w koszmary. A te koszmary z czasem
wpełzają w twoją codzienność. Żyjesz nimi na jawie. I właś-
nie wtedy przestajesz być chłopcem – stajesz się mężczyzną.
Zrób to, a odrodzisz się... ale nic już nie będzie takie samo.

Świat straci barwy. Wszystko stanie się gorzkie, a smak krwi zostanie z tobą na zawsze.

Chłopiec słuchał tych słów, czując, jak serce bije mu szybciej. Głos, który je wypowiadał, był spokojny, ale miał w sobie coś nieprzyjemnego, zdawał się tonąć w lodowatym mroku.

– Czas spełnić obowiązek – mówił dalej. Każdy jego oddech stawał się coraz cięższy. – Granicę, którą musimy przekroczyć, wyznacza kamienny most, ale to nie jest zwykłe miejsce. Złą sławę ciągnie za sobą jak cień. Legenda głosi, że budowniczowie, którzy go wzniesli, po zakończeniu pracy poderżnęli sobie gardła. Nikt nie wie, dlaczego. Nie zostawili listu ani żadnego znaku. Są osoby wierzące, że coś... zmusiło ich do tego. Coś, co wciąż tam czeka. Opowieść o tym moście nie przemija. Każdy, kto ją usłyszał, unika tego miejsca jak zarazy.

Wargi skostniały im od mrozu, a szron topniał we włosach, spływając zimnymi kroplami po karku. Świat wokół zniknął pod ciężką kołdrą śniegu, przypominając wiązanek białych róż złożoną na czyimś grobie.

– Ale nie my – warknął Migar Hallowfall, wbijając lodowate, szarozielone spojrzenie w poszarpane grzbiety gór. W powietrzu snuła się mgła, a płatki śniegu zniknęły w niej bezgłośnie, jakby rozpuszczane przez nicość.

Mężczyzna nosił czarną zbroję, poniszczoną od wgniecień i zadrapań.

– Nie zamierzam tutaj zdechnąć. Ta ziemia to lodowa pustka, ale Buntownik musi gdzieś tu być. Zimno wam? – zadrwił, patrząc na nich z pogardą. – To dlatego, że jesteście pizdami i znacie tylko ciepłko pod pierzyną, a nie mróz zdzierający skórę z kości. Mam już dość tego waszego szczekania zębami i niańczenia chłopaka, który trafił tu z przypadku. Gdzie w tym wszystkim głos rozsądku?

– Nic ci do tego, najemniku. – Głos dowódcy bił powagą i zdradzał jego wiek.

Visander był mężczyzną grubo po czterdziestce w lśniącej zbroi, odbijającej źródło światła pochodzące od pochodni. Rozglądał się przenikliwie przez otwory w hełmie, a blady blask księżyca wkradał się do jego wnętrza.

– Przynajmniej czuję, że jestem obecny, gdy nie trzyma języka za zębami. Nie zamierzam mu zatykać gęby tylko dlatego, że masz jakieś widzimisie. Zatrzymajcie się na chwilę. No już! – Skierował wzrok na mężczyzn, których ciała drżały. – Przecież słyszę, jak zamarzacie. Ale jeśli zawrócicie, traficie pod wyszczerbione ostrze kata. A ten czasami przymierza się dwa razy, więc dobrze to przemyślcie. Powrót niesie jeszcze większe niebezpieczeństwo.

– To niech mi zetną głowę – odpowiedział Migar, wykrzywiając wargi w gorzkim uśmiechu. – Śmiało, bo groźby mogą na mnie nie zadziałać. Jestem na nie odporny. My, ludzie, pocimy się, krwawimy i ginimy za ochłapy, za złudzenia. Wolę umrzeć, zachowując swoją wolność do ostatniego tchu, niż żyć z obrozą, która wgryza się w gardło. A gdy mnie już otworzą, zobaczą to samo, co u wszystkich. Za to chłód nie daje przywilejów. Nie... Nikogo nie traktuję lepiej. Dlatego jestem tutaj z wami, z własnej woli. Tym razem.

– A więc sugerujesz, że Hjalkan cię nie zmusił? – Visander uśmiechnął się z przekąsem, wyraźnie zadowolony z obranego kierunku rozmowy. – Sądziś, że miałeś inny wybór?

Coś w tym pytaniu, w tej całej prowokacji, burzyło równowagę. Wszyscy wiedzieli, że Hjalkan nie należał do ludzi, z którymi można negocjować. Burzowy Szpon – elitarny wojownik króla – odznaczał się nie tylko siłą, lecz także niezwykłą zdolnością porozumiewania się z sowami, służącymi mu za oczy, uszy i cienie w każdym zakątku kontynentu.

Nagle Visander uniósł rękę, zaledwie w pół gestu, jakby coś się poruszyło w oddali. Wiatr zagrał na szczytach drzew. Wtedy, w odpowiedzi na pytanie, z cienia wyłoniła się jedna z sów. Była ogromna, z szerokimi skrzydłami, a jej śnieżne upierzenie przeplatały czarne pręgi.

– Nie jesteś już tak zimny i oschły jak kiedyś – powiedział cicho, nie patrząc już na dowódcę, lecz na ptaka czujnie śledzącego rozmowę. Najemnik podrapał się po brodzie, a w blasku gwiazd przypominał ogromnego niedźwiedzia tłącego się w mroku. – Poza tym, nie zmusił mnie do tego. Powiedział tylko, że jeśli wrócę, popłynę rzeką złota. Innymi słowy, obiecał mi bogactwo. Dlatego wołałbym mieć u boku ludzi z większym doświadczeniem. A ja? Jestem tylko ostrzem noża, którym mierzy ten, kto da najwięcej. Jak to o mnie świadczy?

– Nie najlepiej – stwierdził Visander z bolesną szczerością.

Sato patrzył na nich niepewnie. W oczach zamiast odwagi czaił się strach – ten, który często prowadzi do zgubnych decyzji. Choć miał zaledwie czternaście lat, życie już zdążyło go nauczyć gorzkich lekcji.

Chłopiec był owinięty w gruby, ciemny płaszcz, ledwie osłaniający szczupłą sylwetkę przed zimnem. Tkanina, nasiąknięta wilgocią, pokryta była warstwą błota, które powoli twardniało, tworząc szorstką powłokę przypominającą skórę. Na piersi nie było już widać herbu, zatarł się, zniszczony przez zmierzwione fałdy i postrzępione nici.

Płatki śniegu opadały powoli, ich delikatne, przezroczyste kryształki topniały na ciepłych powierzchniach strojów, pozostawiając po sobie jedynie niewielkie krople wilgoci. Uderzały o twarde futra najemników, w których rozpuszczały się bez trudu, tracąc swoją formę i znikając w chłodnym powietrzu.

Trzecia noc mijała od chwili, gdy zgodzili się na to, na co się zgodzili. Pierwsza jednak, odkąd zapadła decyzja o podziale na grupy. Omijali główne trakty, unikając wzroku obcych. Wędrowali w dziesiątkach, bez barw, herbów i chorągwi mogących zdradzić tożsamość. Nie pragnęli wzbudzać niczyjej uwagi – zwłaszcza spojrzeń czających się wśród drzew i kamienistych zboczy.

– Mam nadzieję, że czekają na nasz powrót – zaczął chłopiec.

– A ja, że trafię do gorących źródeł i wyparuje ze mnie smród, który ciągnie się od zagród. – Migar nie utrzymał się w milczeniu. – Chłopcze, jeśli ktoś na coś czeka, czeka na głowę zdrajcy. A gdy ją dostaną, przybiją do wrót zamku, by cały świat to widział. Zgniły zapach zdrady przypomniałby wszystkim, czym jest lojalność. Właśnie tak wygląda krwa-wa rzeczywistość. Nadzieja z pewnością do niej nie należy. Żyjesz w zepsutym świecie, gdzie twoje życie nic nie znaczy. Nie dla tych, którzy siedzą w swoich zamkach i twierdzach, bezpieczni i wygodni. Pamiętaj o tym.

– Wyobraźcie sobie, że głowa to nic więcej jak nic, z której mogą utkać, co tylko zechcą – mówił Visander, zatapiając wzrok w przestrzeni. – My zaś zobowiązaliśmy się ją odciąć. To najmniejsza z możliwych ofiar, najmniejsze zło, jakie mogliśmy wybrać. Trzymajmy się tej decyzji, bo to jedyne, co nam pozostaje. A nasz pan wynagrodzi wszelkie cierpienie, jakie tu poniesiemy.

– Od kiedy mniejsze zło stało się cichą egzekucją? – zapytał kąśliwie Migar. To, co robił, robił dla pieniędzy i w tej kwestii nie potrafił zgodzić się z dowódcą.

– Król nie chce żadnych widowiskowych scen ani publicznych wyroków dla zdrajcy – odpowiedział Visander. – Pragnie jedynie jego śmierci. Cichej jak mysz. A my musimy wykonać ten rozkaz. Nie możemy zostawić żadnych śladów.

Poza tym, czy lepiej zabić wilka prowadzącego stado, czy wybić każdego, kto ślepo za nim podąża?

– Obojętnie, dopóki dobrze za to płacą. Ale zło, jakiegokolwiek by nie było, nie daje wyboru, więc przestań pierdolić. Mniejsze czy większe zabije ich tak samo. Obie te rzeczy nie istnieją. To kłamstwo, iluzja. W ten sposób próbujemy uzasadnić zabijanie. Ostatnio jest go coraz więcej. Mam wrażenie, że tu nawet dzień nie jaśnieje. Nie podoba mi się w tym miejscu.

– Kłamstwa, najemniku, dzielimy na dwa rodzaje. – Visander zatrzymał krok, jakby zbierał myśli, po czym dodał z lekkim, cynicznym uśmiechem: – Na te, co prędzej czy później wyjdą na jaw, bo prawda zawsze znajdzie sposób, by się wydostać na powierzchnię, oraz na te, które nigdy nie ujrzą światła dziennego, bo nie ma nikogo, kto by je odkrył. Mam to szczęście, że widzę rzeczy takimi, jakie są naprawdę, nie przez pryzmat złudzeń, które reszta świata nosi z wygodą. Czasem to ciężki dar, ale przynajmniej nie łudzę się, że mogę zmieniać rzeczy już zapisane w kamieniu.

– A czy w twoim świecie, rządzoneym przez ludzi łamiących wszystkich i wszystko, nie zważając na ból ani cierpienie, jest miejsce na litość?

– Jest nią ścięcie. – Visander odpowiedział od razu na pierwsze pytanie. – Prawdziwą karą byłoby rzucenie kogoś psom. Rozszarpałyby go w błocie, a wszyscy patrzyliby, jak zatapiają kły w ofierze i pożerają ją ze smakiem. Wiesz, że kiedyś wierzono, iż ból odczuwa się po śmierci? A teraz pomyśl, najemniku, po której stronie staniesz, gdy przyjdzie ci dokonać wyboru? Nie możesz wiecznie pozostawać neutralny.

Migar Hallowfall splunął na ziemię, patrząc na to, jak ślad po flegmie znika w śniegu.

– Żadna z nich nie zasługuje na moje znużone odchrząkiwanie – rzucił, wciąż zniechęcony.

– I ja też nie chciałbym stawać po żadnej stronie – dodał Sato, wtrącając się. – Choć jestem tu z wami, wojna nie jest czymś, co łatwo znoszę. Ja...

Najemnik uśmiechnął się na te słowa, lecz nie był to uśmiech pełen ciepła.

– Żadne to w tobie doświadczenie, chłopcze – rzucił twar-
do. – A wojny jeszcze nie widziałeś. Jeśli sądzisz, że wszyscy mogą sobie tak po prostu wybrać „punkt widzenia”, to za niedługo nie będziesz już wśród żywych. Wybór jest naj-
pierw małą kroplą krwi, a później gęstą, spływającą strugą w białym śniegu. Jeśli należy do ciebie i powoli się nią dusisz, to spoglądasz na rosnący sierp księżyca i czujesz, że nie ma już nadziei. Umierasz w samotności, z jakimś jebanym no-
żem w plecach, charcząc coś, co nie przypomina słów. – Za-
cisnął mocniej lejce i spojrzał na niego nerwowo. – Oby była
czyjaś. A jeśli przyjdzie nam walczyć, skończ ze zranioną
dumą, ale za to z życiem. Skup całą uwagę na tym, by pozo-
stać niezauważonym. Odnajdź cienie, których będziesz mógł
się trzymać. Nie ma sensu ginąć w imię jakiejś bezsensownej
walki. To widać, że nie potrafisz walczyć.

– Cień najlepiej poznał ten, kto chował się pod kamie-
niami – odparł chłopiec cichym głosem, ledwie utrzymu-
jąc się na siodle. Jego posiniaczone ręce kurczowo ścisnęły
zardzewiały nóż... – Odkąd pamiętam, dostawałem nimi
w głowę. Mój ojciec był stajennym, zamordowanym przez
miejską straż. Wyciągnęli go przed stajnię i zasztyletowali,
a ja, mimo całego upokorzenia, musiałem doglądać ich koni.
Traktowali mnie, jakby nie łączyła mnie żadna więź z czło-
wiekiem, który właśnie zginął. Czułem się jak butwiejący
liść zagrzebany pod podkową. Te wspomnienia nie przestają

mnie prześladować. Wiem, czym są cienie. By w nich prze-
trwać, musiałem rzucać je samemu.

Wszyscy zamilkli na moment, wpatrując się w chłopca. Jego spojrzenie tętniło niezłomną determinacją.

– Oko za oko, mówi ci to coś? – zapytał Migar. – Kiedy zobaczysz ich bezradność, fakt, jak walczą o oddech, dusząc się własną krwią, poczujesz pustkę. Ale tuż po niej przyjdzie wolność. Musisz pomścić ojca. Wątpię, by zasłużył na to, co go spotkało.

Sato na chwilę zamknął oczy, jakby pragnąc uciec od rzeczywistości, a myśli przeniosły się w mroczne miejsce. W umyśle rozblysnął obraz, który nie dawał mu spokoju: widział, jak przecina wrogów, rozrywając ich od piersi po szyję, jak pod brzęczącymi pierścieniami kolczug wytryskują wnętrzości. Krew spływała po ziemi, plamiąc śnieg głębokim, purpurowym odcieniem.

Z zamyślenia wyrwał go skrzypiący dźwięk, który z każdym ruchem końskich nóg wbijał się w twardą, zamrożoną ziemię. Kopyta ciemnogniadych rumaków uderzały w nią, zostawiając za sobą równomierne ślady. W tle dobiegało pohukiwanie sowy, uchodzącej w mroku nocy za ucieleśnienie mądrości

– W sumie, życie w stajni było jedyną rzeczą, którą naprawdę kochałem – stwierdził Sato. – Tęsknię za tym bardziej niż za czymkolwiek innym, ale zabrano mi tę pracę na zawsze. Wiem, że to nie jest moje miejsce. Jednak nie miałem żadnych innych możliwości. Wojna jest krwiożercza, odcłowiecza i nic nie przemawia już do serca. Tak mawiała moja babka. Gdybym nie musiał walczyć z biedą, matką głodu, to nigdy bym się tu nie znalazł. Czasami wybór, jaki masz, to albo walka, albo...

– Wierzysz w starych bogów? – spytał Migar, mrużąc oczy. Choć od dawna byli wypierani, wielu wciąż trwało przy tej wierze, składając ciche modły w ukryciu.

– Tak – odpowiedział chłopiec, choć wiedział, że nie powinien. Tacy jak on byli prześladowani. Krzywdzeni, zabijani, gdy tylko ich wiara stawiała się zbyt widoczna, gdy przestawała być jedynie szeptem nocy, a przybierała kształt publicznych wyznań.

Najemnik przyjrzał mu się uważnie.

– Rozumiem, dlaczego tu jesteś – powiedział powoli. – Ale zastanawia mnie jedno: kto pozwolił ci na taką lekkomyślność? Czasem to, co wydaje się proste, bywa przynętą. Nawet Świętowit miał cztery twarze, ale żadna nie zdradzała prawdziwego zamiaru. Uważaj więc, zanim sięgniesz po coś, co wygląda jak przeznaczenie. Może się okazać, że to jedynie sidła.

– Raz rozebrali mnie do naga i ustawili pod zimną, kamienną ścianą – powiedział chłopiec, nie kryjąc bólu. Jakoś nie potrafił przestać roztkliwiać się nad przeszłością, jakby jego ciało było tu, ale serce wciąż biło tam, gdzie wszystko miało swój początek. – Ironią losu było to, że zawsze obrzucano mnie właśnie nimi. Kamieniami. Wyczyścili mi kieszenie jak talerze z pieczonego mięsa. Do tego rodzaju rzeczy człowiek z czasem przywyka. W końcu nastaje moment, w którym nie chodzi już o to, co jeszcze zdołasz wytrzymać, ale czy jesteś gotów się poświęcić, by cokolwiek zmienić. To jak cisza nadchodząca tuż przed śmiercią. Słyszysz ją, ale nie możesz jej zatrzymać, bo wiesz, że i tak nadejdzie. – Otarta rękawem łza zostawiła smugę błota na policzku. – ŚmieJCie się, jeśli właśnie tego wam potrzeba. Już mi dłużej nie zależy. Zupełnie tak, jak wtedy...

– Zbliżamy się – przerwał im Visander. Jego głos brzmiał twardo i stanowczo, jak zawsze, gdy sytuacja stawiała się poważna. – Nie jestem waszą pierdoloną niańką, więc przestańcie się rozczulać. Tu nie ma miejsca na łyzy. Jeśli nie wykończy nas mróz, zrobią to skalne zęby, które tylko czekają, aż ktoś źle postawi stopę. – Zerknął na tańczące w dłoniach pochodnie. – Zgaście to świństwo. Co dalej? Może jeszcze zadmijcie w róg, żeby wiedzieli, gdzie was szukać? Światło przyciąga więcej niż tylko ludzi. W tych górach oczy rosną nawet na drzewach, a cienie mają własne serca. Trzymajcie się razem. I nie wiercie w to, co widzicie.

Nie mylił się. Poczerniała Grań, na której się znaleźli, nie miała w sobie nic z malowniczego piękna. Jej ostre, postrzępione krawędzie przypominały zęby, odcisnięte w martwej skórze ziemi. Na szczytach białął puch, ale nie był to widok sielankowy – śnieg leżał tam jak całun. W głębokich, poszarpanych przełęczach nie gościło nawet blade światło świtu. Ciemność była tutaj nie tyle brakiem słońca, co czującą obecnością.

Noc, jak zawsze w tych stronach przypominała otchłań pełną stromych zboczy, rumowisk kamieni i lodowatych kaskad wodospadów, zamarzających w miejscu, tworząc nieprzejezdne, mroźne ściany. Mgła nie opuszczała wąskich zatok, wyłobionych przez czas i wichry, przypominających węzowe gardła wijące się między skałami.

Niżej, w cieniu dolin, rosły karłowate wierzby, a ich pokręcone gałęzie szeptały coś o zimie. Nad nimi wznosiły się ku niebu strzeliste świerki i ciemne limby. Kosodrzew oplatał wszystko jak kolczasta sieć, zatrzymując masy śniegu, pułapkę dla nieostrożnych, która w jednej chwili mogła stać się grobem.

To nie były zwykłe góry. To kraina, gdzie wiara splatała się z lękiem, a opowieści starców o biesach nie brzmiały już jak zwykłe bajania przy ogniu.

Dowódca sprawiał wrażenie zupełnie obojętnego wobec losu chłopca, jak i wszystkich pozostałych towarzyszy. Jedynym, z czym się liczył, był rozkaz. Wszystko inne nie miało znaczenia. Wydawanie poleceń stanowiło dla niego coś więcej niż tylko obowiązek. To była obsesja, poddawał się jej z bezgraniczną pasją. Kiedy jeden z jego ludzi okazał się nieposłuszny, bez wahania obciął mu końcówki wszystkich palców. Nie przepadał też za tymi, którzy zamiast ciąć wszelkie wątpliwości, woleli marnować czas na roztrząsanie nieistotnych spraw.

– Pozwól mu dokończyć – mruknął Migar, otulając się jeszcze ciaśniej czarnym futrem, które było nie tylko osłoną przed mrozem, ale i symbolem osobistej izolacji.

– Jeszcze niedawno pragnąłeś, aby zamilkł. Ale dobrze najemniku. Niech mówi, ile chce. Tyle jego, co się nagada.

– Zawsze traktowano mnie źle – rozpaczał Sato, rozdrapując starą ranę i cały ból przeszłości. – Wtedy zrozumiałem, czym jest prawdziwy gniew. Płonął w moich oczach jak ogień. Mówię poważnie! Za stajnią stały beczki, a między nimi leżał nóż. Wiedziałem, że jest tam schowany. Czuję, że ten moment zmieni wszystko. Zdecydowałem się na... Musiałem to zrobić. Ostatnia szansa. Próbowałem go zatopić w karku mordercy mojego ojca, ale jedyne w co trafiłem to powietrze. Odskoczył w ostatniej chwili, jakby znał moje zamiary lepiej niż ja sam. Powalił mnie na ziemię, uderzając rękojęścią prosto w gardło. Zacisnąłem dłonie na szyi, próbując złapać choćby odrobinę powietrza. Nigdy nie byłem bliżej śmierci. Rzucił mi spojrzenie, równie przerażające jak rany, które miał na głowie. Było w nim coś potwornego.

Pamiętam, co krzyknął, patrząc na mnie z góry: „Zbieraj to, co zasiałeś, psie!” I wtedy zaczęło padać. – Jego głos brzmiał coraz mroczniej, a słowa wypełniały przestrzeń, wlewając do serca zimny niepokój. – A wtedy... Nagle zjawił się on. Mężczyzna z sową na ramieniu. Mówię wam, to był Hjalkan. Nie kłamie! Okazało się, że od jakiegoś czasu na strażników miejskich spływały skargi. Źle wykonywali swoje obowiązki, więc ktoś musiał się tym zająć.

– Więc twierdzisz, że to on cię uratował? – zapytał go Visander z czystej ciekawości. – Nie znam go zbyt dobrze, ale wszyscy wiedzą, jak mu nie zależy na czyimś życiu. Ciężko uwierzyć, że taki człowiek mógłby przejąć się twoim losem. Wątpię, byś był jakimś wysoko urodzonym młodzieńcem, który przez przypadek trafił tam, gdzie nie powinien. Miałeś szczęście i nic więcej, ale tutaj go nie znajdziesz.

Żołnierze, jadący tuż za nim, wymienili porozumiewawcze spojrzenia, a ich usta wykrzywiły się w kpiące uśmiechy pełne szyderstwa i zimnej pewności.

– To miejsce ma w sobie coś złowrogiego – mruknął Migar. – Tęsknię za wzgórzami, zielonymi jak wiosenne liście, za spokojem domu, gdzie nic nie burzyło harmonii dni. Ale teraz, kiedy już tu jesteśmy, kiedy nie ma odwrotu... przynajmniej dokończ tę historię, chłopcze. Rzuć ją na brzeg. Spróbuję na chwilę zapomnieć o tych martwych szczytach, które wbijają się w niebo jak kolce. To moje ostatnie zetknięcie z tymi ziemiami, przysięgam na bogów. Ani razu więcej nie postawię tu stopy.

– A więc – zaczął młodzieniec, z trudem przełykając słowa. – Hjalkan spytał, czy pożyczę mu na chwilę nóż. – Zająknął się, szukając oddechu. – Wsadził go prosto w oko jednemu ze strażników, a potem powiedział: „Zobacz, jakim dobrym był człowiekiem. Postanowił być przykładem, aby inni nie poszli w jego ślady”. Zaraz po tym Burzowy Szpon

wybuchnął śmiechem. Pozostali nie potrafili opanować drżenia. Ten strach. On wisiał w powietrzu. Reszta była tylko szumem w tle. Wnętrza wypłynęły jak dżdżownice i pełzały po ziemi, znikając w wąskich uliczkach. Deszcz spłukiwał je w dół, pozostawiając jedynie mokrą, śliską ziemię, po której stawialiśmy kroki. Wtedy zrozumiałem, że uciekając przed dżdżownicą, można natknąć się na żmije. Zastanawiałem się, czy skoro drążą pod nami korytarze, to czy mogą je wyłobić w naszych trzewiach? Strach zderzył się w mojej piersi z dziwnym uczuciem ulgi.

Dowódca wciągnął głęboko powietrze. Jego wzrok utkwił w chłopcu, przeszywając go na wskroś.

– Teraz już nie mam wątpliwości, że to prawda. To brzmi dokładnie jak on – jego sposób, metody. Ale dalej nie rozumiem, jak się tu znalazłeś. I jak mniemam to zardzewiałe ostrze, które trzymasz w dłoni, wyciągnąłeś z oczodołu strażnika, kiedy było już po wszystkim. Zostawiłeś po nim ciemną, pustą dziurę i służy ci do dzisiaj.

– Ani trochę się nie mylisz – zapewniał Sato. – Kłamałem Hjalkanowi, gdy mówiłem, że pragnę się odwdziczyć, że zrobię, co tylko będzie chciał. Co miałem niby zrobić? Pozwolił mi zarobić na swoje pozbawione sensu życie. Teraz jestem skazany na was i wasze umiejętności w walce. To wy będziecie tymi, którzy zdecydują czy uda mi się przeżyć, choć zdaję sobie sprawę, że szanse są naprawdę nikłe.

– Jesteś sprytny jak na swój wiek – powiedział mu Visander, gdy ten wyszczerzył zęby w uśmiechu. – Jednak tym razem przechytrzyłeś samego siebie. Udało ci się oszukać otaczający świat, ale w końcu nie unikniesz zapłaty za swoje błędy. – Wpatrywał się w chłopca, jakby patrzył na zranioną zwierzynę, której nie sposób już uratować. – Nawet jeśli wyjdiesz z tego cało, wrócisz z ciałem pozornie zdrowym. Ale twoja dusza? Twój umysł? Te będą nosić blizny, które nie

znikną. Zostaną na zawsze. To, co przeżyjesz, będzie wypełniać cię ciemnością, niezdolną do rozproszenia przez żadne światło. Pustką, która wciągnie cię jak otchłań. Z każdym dniem będziesz coraz bardziej obcy we własnym ciele, aż w końcu nawet nie rozpoznasz tego, co pozostało z człowieka, jakim kiedyś byłeś. I to wszystko... nie jest warte ceny, jaką przyjdzie ci zapłacić.

– Jeśli tylko przeżyję, zrobię wszystko, by pomścić ojca! – upierał się chłopiec. – Zabiję tego, który mnie powalił, a potem zasnę przy ognisku. Przy jakichś płonących węglach. Będą się żarzyć, a ja poczuję, że wreszcie osiągnąłem cel – przekonywał z zaschniętymi łzami na podbródku, jakby jego życie nie miało już żadnego innego celu poza zemstą. – A później mogę umrzeć.

– Podziwiam twą determinację – odpowiedział Visander, odrobinę rozzłoszczony. – Ale najwyższy czas, abyś miał się na baczności, chłopcze. – Zamilkł na chwilę, a potem dodał, patrząc na otwór w pniu, który przyciągnął jego uwagę. – Spójrz. – Wskazał na drzewo. – Jeśli nie jest zasiedlony przez dzikie zwierzęta, to może kryje się tam wojownik. Z włócznią. Może... może nie. Nigdy nie wiadomo. Ale musisz być gotów na każdą możliwość. Ludzie stąd słyną z pułapek, a tą bronią chętnie przygwoździliby cię do ziemi. Ziemi równie dzikiej i surowej, co ludzie, którzy ją zamieszkują. Bładoskórzy. Tak ich nazywają. Tutaj nietrudno na nich trafić. To okrutni ludzie, nieznający litości. Mają odrażające nawyki, a symbole wyryte w skórze są częścią mrocznej tożsamości. Dorastali w cieniu szubienicy, a pod nią wisieli ich rodzice. Od zawsze byli związani z przemocą. To przeważnie zbiegowie i banici. Uwielbiają siał spustoszenie, paląc małe, bezbronne wioski i osady.

Las był otulony gęstą, martwą bielą. Szlak pozostawał śliski, oblodzony i przykryty kołdrą śniegu. Gałęzie drzew, ugięte pod ciężarem mroźnego nalotu, zwisały jak martwe ręce. Gładka powierzchnia lodu na jeziorze obok pozwalała światłu przenikać w jego głąb.

Nagle Migar uniósł wzrok i dostrzegł w oddali smugę dymu wznoszącą się w górę, niby wieża-widmo, niemal zanurzona w chmurach.

– Spójrzcie – powiedział, wskazując krzywym, zmarzniętym palcem na horyzont. – To wioska. Jest najwyżej milę stąd. Mam nadzieję, że to nic innego jak nasz cel. Chciałbym już stąd zniknąć i zostawić to wszystko za sobą.

– Nie grzeszysz cierpliwością, a cierpliwy ugotuje nawet kamień – tłumaczył mu Visander. – Wkrótce najgorsze okaże się prawdą. Posłuchajcie wiatru. Słyszycie? Ta melodia, to chłodna pieśń mająca nas przygotować. Buntownik. Niektórzy mają go za bohatera, ale to zwykły morderca. W oczach jednych jest zbrodniarzem, w oczach innych, mężem, który poświęcił wszystko dla większego dobra. Ale dla nas... tylko celem. Nasz pan rozkazał go wytropić, a on nie odpuszcza grzechów. Kylhar zdradził, a teraz jest poszukiwany. Zadbajmy, by jego głowa trafiła w odpowiednie ręce. Gdy spełnimy rozkaz, już nigdy więcej nie będziecie musieli bać się głodu ani zimna.

Gwałtowne bicie serc, które niemal rozrywało piersi najemników, koła jedynie obietnica – choć i ona nie potrafiła całkowicie zagłuszyć niepokoju. Niewielka kolumna jeźdźców ruszyła w górę zbocza, a potem zjechała wąską, stromo opadającą ścieżką, aż minęli rozległe wrzosowisko. Zatrzymali się przy dębie, którego masywna, rozłożysta korona wyraźnie odróżniała go od reszty drzew. Zeskoczyli z koni i przywiązali je mocno do jednej z grubszych gałęzi.

Wioska nad oblodzoną rzeką wyglądała we mgle jak unoszący się duch. Skromne chatki, wzniesione głównie z drewna, powoli ulegały zębowi czasu, zdradzając oznaki rozpadu – deski porastała pleśń, a mroźna wilgoć spękała je na całej długości. Słomiane dachy zapadły się nieco i zarosły mchem. Za dnia być może promienie słońca wpadały przez okienne otwory, ożywiając wnętrza; nocą jednak panował tu jedynie strach i nieokiełznana ciemność.

Migar podszedł do innego drzewa, by ochłonać. Jego dłonie poczuły chłód brzozonej kory, gdy ją delikatnie naciął. Wierzono, że to drzewo chroni przed złymi duchami, a sok może leczyć duszę. Przez moment wydawało mu się, że z rany na pniu wycieka coś, co przypomina krew. Wiedział, że zapasy żywności powoli się kończą. Nienawidził cierpieć głodu. Nie zamierzał podążać śladem swoich poprzednich towarzyszy, którzy ratowali się zmieloną korą i trującymi ziołami. Ukucnął przy kałuży i zaczął nabierać wody w złęczone dłonie. Była zimna, a na jej powierzchni pływały maleńkie kryształki lodu. Wsiąknęła w spierzchnięte usta, zaś on starł wilgoć wierzchem dłoni, czując chłód w powietrzu.

Dowódca zatrzymał się na moment. W ciszy nocy, którą wypełniał tylko szum wiatru, poczuł, jak serca jego ludzi biją w jednym rytmie. Zacisnął dłoń na rękojeści miecza w geście gotowości.

– Nie martwcie się, jeśli zabłądzicie podczas walki – kontynuował, wskazując na ciekłą warstwę lodu, z trudem utrzymującą się na powierzchni wody. – Jest ciemno, ale zawsze mogło być o wiele gorzej. Rzeka, którą widzicie, nazywa się Uwięzioną. Ciągnie się aż po Hjastfal. Niektórzy mówią, że to woda, która potrafi wciągnąć człowieka w sam jej środek, by wchłonąć go jak wilgoć. Ponoć szepcze, wpijając się głęboko w umysł tych, zbliżających się do brzegu.

Migar ochrypl. Jego głos zaczął słabnąć na lodowatym wietrze.

– Nie strasz ludzi, kurwa – warknął. – Większość słyszała o tym miejscu. Tysiące lat temu stała tu potężna twierdza, a głęboko pod nią lochy, w których trzymano najgorszych z najgorszych. Teraz ich kości leżą na dnie, zamrożone. Ale ja nie wierzę w bajki. Wyrosłem z nich dawno temu.

– Mój panie – wtrącił żołnierz o złocistorudych włosach, ubrany w postrzępioną, śnieżnobiałą pelerynę. Miał zdecydowanie najmniej zębów. – Powątpiewam, że Buntownik ukrywa się w tym miejscu. Nie było żadnych śladów. Nic, co prowadziło by nas do tego miejsca.

Strach ukradł mu pozostałe słowa.

– Spójrz. – Visander wskazał palcem na sowę, a ta zaczęła dziwnie kwilić, okrążając miejsce, w którym stali. Jego wzrok nie odrywał się od ptaka. – Hjalakan patrzy jej oczyma. To ona wytropiła cel, a ja podążam za nią. Burzowy Szpon się nie myli. Zawsze widzi to, czego nie dostrzega zwykłe oko. Bierzcie broń i miejmy to już z głowy. Dosłownie. Przewróćcie to miejsce do góry nogami. Gdyby nie mieli nic do ukrycia, mieszkańcy siedzieliby teraz przy ognisku, rozmawiając i dzieląc się opowieściami. Tymczasem pozostają schowani w kątach. Ogień płonie, żar wzbija się ku niebu, ale nie ma ani jednego śladu życia.

Chociaż... przez chwilę odniósł wrażenie, że za linią drzew przemknęła jakaś sylwetka. *Dziwne* – pomyślał, przyglądając się uważniej. To tylko wiatr.

Zamiast broni wyjął jabłko ze zbrązowiałą plamką na skórce. Chciał zdjąć hełm i wgryźć się w owoc, by poczuć, jak sok spływa mu po brodzie. Jednak zanim zdążył oswoić tę myśl, jego ludzie przestali sprawdzać teren w skoordynowany sposób.

Ostatecznie coś zupełnie innego przykuło jego uwagę. Drzwi stodoły, wcześniej zamknięte, zaskrzypiały na zawiasach, wydając dźwięk, który zaczynał łamać najemników. Dowódca, nie czekając dłużej, zdecydowanym ruchem pchnął drzwi. Z jękiem otworzyły się, odsłaniając widok wstrząsający nimi do głębi.

Na wielkim rzeźnickim haku, pokrytym rdzą i wyschlą krwią, zwisało ciało. Metalowe ramię, wbite głęboko w żebro, wisiało jak straszliwy znak. Z ust ofiary sterczała rękojeść krótkiego ostrza, które przebijało mięśnie, tkanki i kości. Zmurszała ziemia pod zwłokami była usiana porozrzucanymi, zmiażdżonymi palcami.

– Na bogi... my tu nie człowieka szukamy, tylko upiora – wycharczał jeden z najemników, cofając się kilka kroków. Twarz miał gładką jak jedwab. W nagłym odruchu uderzył pięścią w belkę. Stara krokiew zadrżała, zrzucając z wysokości warstwę kurzu. – To nie robota człowieka... – wyszeptał już ciszej, rozglądając się nerwowo po ciemnych kątach stodoły. Cienie wydawały się dłuższe, głębsze i gęstsze niż zwykle. – Nie... to nie może być prawda. Ledwo, ale... rozpoznałem go. To Gładys. Jeden z byłych gwardzistów!

– Raczej jeden z tych, którzy mieli w sobie więcej odwagi niż rozumu – rzucił Migar z chłodną ironią.

Mężczyzna zignorował przytyk i kontynuował:

– Jego oddział musiał być tu przed nami... – Słowa zaczęły się rwać, jakby strach dławił je w gardle. – Ale gdzie jest reszta? Gdzie ciała, ślady? Czy coś ich zabrało...? To miejsce cuchnie śmiercią. To nie pora na bohaterstwo. Jeszcze możemy zawrócić... zanim ciemność nas pochłonie.

– To wróć. Dobrze wiesz, gdzie wtedy trafisz. – Dowódca zaznaczył ostrzegawczo. – Wątpię, by ktokolwiek z nich mógł przetrwać. I jeszcze bardziej wątpię, że to sam Buntownik ich wszystkich położył. – Cisza odpowiedziała mu echem

pękających gałęzi i stukotem czegoś, co nie było ani wiatrem, ani zwierzęciem. – Oby... – wymknęło się z jego ust prawie szeptem, lecz dalsze słowa nie zdążyły znaleźć ujścia.

Z gęstwiny mroku wynurzył się napastnik – mężczyzna o posturze byka i surowym spojrzeniu. W dłoni trzymał włócznię z grubo ciosanego jesionu, zakończoną połyskującym, żelaznym grotem. Każdy jego krok sprawiał, że ziemia pod stopami jęczała, a warstwy ciała pod skórzaną zbroją falowały. Na plecach zwiślał mu ciasno spleciony warkocz, sztywny i ciężki.

Migar stał najbliżej, czując, jak serce bije mu w piersi coraz szybciej, jakby próbowało wyrwać się z ciała, łomocząc o żebra.

Zwinny niczym wilk wśród leśnych ostępów, odbił pierwszy cios. Przy następnym ruchu włócznia świsnęła tuż obok jego głowy, lecz pewnym ruchem odtrącił broń przeciwnika, zmieniając tor natarcia. W tej samej chwili, wykorzystując chwilę nieuwagi, uderzył z siłą, która rozdarła ciało wroga. Cios wszedł głęboko, a dźwięk rozrywanego mięsa i łamanych kości wypełnił przestrzeń.

Napastnik zrobił kilka kroków wstecz i runął na ścianę, osłabiony, z dłonią zaciśniętą na rozoranym boku. Krew pulsowała pod jego dłonią, ciepła i lepka, ale życie już oddalało się od niego. Nie zdążył krzyknąć. Zapadła cisza, a ciało opadło bezwładnie, zostawiając za sobą jedynie ślad czerwieni na zimnej powierzchni.

Nagle strzała przeszła powietrze, trafiając Migara w zewnętrzną część uda. Ból wybuchł w ciele. Najemnik spojrzał na grot wyrzeźbiony z kości, który utkwiał głęboko w mięśniach. Strzała rozdarła tkanki, rozrywając je na strzępy, a krew zaczęła tryskać, zalewając ziemię. Poczul, jak ciepłe krople spływają po nodze, łącząc się w strumień. Z trudem zacisnął dłoń na grocie i wyciągnął go, krzycząc w agonii,

gdy ostry koniec strzały ciągnął skórę w dół, przecinając kolejne warstwy ciała.

Sato dygotał ze strachu, jakby lodowaty wiatr przenikał go na wskroś, mroząc kości. Nóż, trzymany z determinacją jeszcze chwilę wcześniej, nagle wysunął się z dłoni. Palce, zdrętwiałe od przerażenia, nie miały już siły, by utrzymać ostrze. Zaciśnął kurczowo usta, próbując powstrzymać krzyk, który narastał w piersi, gotowy wyrwać się na wolność. Zaskoczył go mężczyzna z brodą splecioną kościanymi koralikami. W rękach trzymał ciężki, masywny młot, a na końcach gwoździ pokrytych zaschniętą krwią widniały ślady niejednej krwawej konfrontacji.

Młodzieniec zamknął oczy, próbując uciec od rzeczywistości. W tej pustce zaczął wspominać matkę – jej melodyjny głos, miękkie dotyk i przede wszystkim miłość, której nigdy już nie zazna. Zanim zdążył je ponownie otworzyć, napastnik się zamachnął. Potężne uderzenie spadło z góry, roztrzaskując go bezwzględnie. Kiedy opadł na ziemię, poczuł tylko chłód śniegu, wsiąkającego powoli w jego ciało. Widział, jak krew rozpryskuje się wokół, skóra pęka, a z rany na ramieniu wychodzą wnętrzności. Kość wystawała z ciała, ostro zagięta i biała jak złamany kawałek szkła. Gdy próbował się poruszyć, wbijała się jeszcze głębiej, sprawiając niewyobrażalną mękę.

Chłopiec miał przed sobą zamglony obraz, wszystko zlewało się w nieostre plamy. Ledwo dostrzegał Migara zbliżającego się w furii. Zanim zdążył zareagować, usłyszał kolejne potężne uderzenie, które wyrwało z piersi resztki życia. W oczach zamigotały czerwone cienie, a świat wokół niego zaczął powoli zanikać, przemieniając się w nieprzeniknioną ciemność.

Agresor, stojący nad nim, cofnął się, by zablokować cios Najemnika. Z jego gardła dobiegł stłumiony śmiech, jakby z głębi grobu. Migar, zbierając ostatki sił, pchnął zabójcę w stronę zaostzonego drąga, który przeszył go na wylot, miażdżąc mięśnie i narządy. Wnętrznosci napastnika, niemożliwe do uchwycenia, wylewały się z rozdartej jamy brzusznej, a ich pulsująca masa plamiła dookoła ziemię, ciemnoczerwoną mazią. Gdy desperacko próbował utrzymać je rękoma, palce ślizgały się po lepkich śladach. Ostatnie dźwięki, które wydobyły się z jego ust, to ciche skomlenia, niezdolne wyrazić prawdziwego bólu rozrywającego ciało od środka.

Noc rozdarł szcęk żelaza, gdy Bładoskórzy ruszyli do ataku. Ich oczy płonęły dziką furią. Słyszeli ze swojej brutalności i zamiłowania do ognia, traktując go jak żywioł, z którym można się przyjaźnić. Ich ciała otulały szare skóry, nadzwyczajnie długie i wytrzymałe, jakby świeżo zdjęte ze zwierząt. Te skórzane pancerze nadawały im wygląd dzikich wojowników, wzbudzających grozę w sercach przeciwników. W powietrzu mieszały się odgłosy łamanych kości, przerażające dźwięki odcinanych kończyn i strumieni krwi zalewających ziemię.

W tym szaleństwie jeden z najemników, wstrząśnięty okrutnością Bładoskórych, postanowił uciec. Widział, jak jego towarzysze padają martwi, i usiłował wyrwać się z piekła, licząc na jakikolwiek ratunek. Nadzieje okazały się jednak płonne. Zaledwie kilka kroków od miejsca walki poczuł przeszywający ból, gdy strzała trafiła go w gardło. Padł bezwiednie na ziemię, zostając jedną z wielu ofiar w tej bezwzględnej rzezi.

Za nimi ciągnął się nie tylko smród spopielonych ciał, ale i niezaspokojona żądza zniszczenia, która kazała im palić wszystko, co stało na ich drodze. Jeden z Bładoskórych,

z pochodnią w ręku, zbliżył się do starego budynku. Z zimnym uśmiechem na ustach wrzucił ją do środka. Płomienie natychmiast zabiły mrok, pochłaniając drewniane ściany. Stodoła jęczała pod naporem ognia, a drzwi i okna, w których ogień znajdował swoje ujście, zaczynały wydzielać języki czerwonego światła.

Migar poczuł ledwie zauważalne muśnięcie na nasadzie nosa. Zanim zdążył zareagować, kolejny wróg rzucił się na niego w ferworze walki. Instynkt wziął górę. Z zamachem, precyzyjnie uderzył z ukosa, trafiając nadchodzącego przeciwnika. Krew wytrysnęła, rozpryskując się po drewnianych deskach jak czerwony deszcz. Ofiara zagulgotała, a jej ciało runęło na ziemię. Wrogów było zbyt wielu. Szybko otoczyli go, wyrывая mu miecz z dłoni. Z trudem walczył, próbując wyrwać się z ich uchwytów. Kiedy w końcu upadł, złamany i bezbronny, wiedział, że to koniec. Mocno związali jego ręce sznurem, który wrzynał się w nadgarstki.

Spojrzał na ciało chłopca, zamordowanego tuż obok. Widok ten wywołał w nim przypływ bezsilności i żalu. Pozostali towarzysze byli już tylko krwawym śladem przeszłości, roznoszonym przez wiatr. To chciwość zaprowadziła ich aż tutaj, to ona pociągnęła na granicę zguby, nie pozostawiając innego wyboru.

Visander stał u kresu wyczerpania po brutalnej walce, która była już przegrana. Bezsilnie przyglądał się rozprutym ciałom swoich ludzi, teraz leżącym w błocie, martwym i porzucanym.

Mężczyzna z siwą brodą, stojący na czołowej linii, wyprowadził cios od dołu. Ruch był szybki, brutalny – brodacze wydobył z siebie straszliwy oddech. Nie czekając, chwycił dowódcę za głowę i wyrwał mu hełm, który potoczył się po ziemi. Pod nim widniała paskudna twarz, pełna głębokiej nienawiści. Dwóch Bładoskórych podeszło i brutalnie

zawlekło dowódcę w stronę zawalającej się stodoły. Ściana ognia rosła z każdą chwilą, a płomienne jęzory wystrzeliwały na zewnątrz.

Kylhar Skoroświt, już teraz zwany Buntownikiem, siedział przy ognisku, którego płomienie tańczyły wokół głowni miecza. Ostrze powoli rozgrzewało się, a stal lśniła w świetle ognia. Jego długie, przetłuszczone włosy, posklejane krwią, opadały na ramiona, tworząc czarne nici, kontrastujące z bladą twarzą i gęstą brodą. Ta była długa, poszarpana, zlewająca się z wąsami, a na jej końcach wisiały kępki brudu. Chwycił miecz oburącz, czując ciężar broni, stanowiącej jednocześnie przedłużenie woli. Na napierśniku, który nosił, widniał czarny byk z parą buchającą z nozdrzy na tle srebrno-złotego pola. Kiedy podniósł wzrok, zauważył, że stojący przed nim dowódca nie wykazywał strachu.

– No to się porobiło – rzucił. – Zobaczcie, kogo tu mamy. Wiesz, nienawidzę zimnej stali. Takiej, której nawet nie poczujesz.

– A ja pierdolę zdrajców! – warknął dowódca przez zaciśnięte zęby, czując, jak gniew kłębi się w jego trzewiach. Strużki potu spływały mu z twarzy, wymieszane z krwią i kurzem, tworząc na skórze cienką warstwę brudu. – Nienawidzę ich, bo są jak otwarta rana, która nigdy się nie zagoi. Łzy same napływają do oczu, kiedy wymierzasz „sprawiedliwość”. Musi być przyjemna, skoro traktujesz ciała, jakby były nic nie warte. Nawet śmierć powinna być zadana z godnością. Ci ludzie, mimo wszystko, zasługują na pochówek! Ale jest już za późno, byś się obudził. Po mnie przyjdą kolejni, żeby cię ściąć.

– Może i na to zasługują – zadrwił, uśmiechając się gorzko. – Niektórzy. Ale jak ich tu poskładać?

– Nie masz serca.

– Co ty rozumiesz? – zbeształ go Skoroświt. – Choćby ten wisielec, Gladys, ta? Był mordercą. Porwał dziewczynkę, zgwałcił ją, a potem zabił za garść miedziaków. Już dawno miałem się nim zająć. Każdy błąd zostawia ślad. W przeciwieństwie do niego, nie interesują cię pieniądze. Ty przybyłeś tu po chwałę, po coś, czego nie możesz już odzyskać – utracony honor. Prawda? A granica między zdradą, a wiarą w lepsze jutro dawno się zatarła. Przełałem morze cierpień w imię twego pana. Wypełniałem każdy rozkaz jak pies, a one zamieniły moje myśli w ostre sople lodu. Coś zaczęło je roztopiać. Przejrzałem na oczy, a raczej jedno, bo przez Barisa jestem na wpół ślepy. Widzisz? – Jego gałka oczna miała dziwnie zmętniały odcień. Tam, gdzie kiedyś tętniła tęczęwka, teraz pozostała jedynie spękana, biaława powierzchnia, przypominająca stary perłowy kamień. Była jak puste okno, przez które nie można było dostrzec żadnej nadziei. – Nie zabieraj głosu, jeśli nie wiesz, czym jest sprawiedliwość.

Visander nie wytrzymał dłużej. Gniew zalał go falą, a wszystkie słowa Kylhara tylko podsycaly ogień w jego piersi.

– No, na co czekasz, tchórze? – prowokował, nie mogąc się powstrzymać. – Ja bym się nigdy nie zawahał. Wolę...

– Rozgrzaną stal. – Buntownik dokończył za niego głosem pełnym stanowczości. Miecz poszybował przez powietrze, a czyste, precyzyjne cięcie oddzieliło głowę dowódcy od tułowia. Ciało opadło, a odcięta część toczyła się leniwie w stronę błotnistego potoku. W tle zamigotało okucie pochwy miecza, oplecionego łuską węża, jak znikająca iskra w blasku księżyca.

Kylhar odetchnął głęboko, uwalniając się od części ciężaru spoczywającego na jego barkach. To była ta jedna, krótkotrwała chwila, kiedy czuł się wolny, uwolniony od ciągłego ścigania, zagrożenia i morderczego ścisku, nieustannie

dreńczęcego go przez ostatni czas. Buntownik spojrzał na człowieka, który przez tyle dni deptał mu po piętach, próbując go złamać.

– Podejdz najemniku – rozkazał. Zmarszczył czoło, zmagając się wewnętrznie z własnymi myślami.

Migar zbliżył się do niego. Pomogły mu w tym ostrza Bładoskórych, które czuł na plecach. Przyglądał się, jak Buntownik opatruje ranę na nadgarstku.

Chwile wytchnienia nie trwają za długo – pomyślał, wiedząc, że czas jest jego wrogiem. *Teraz kolej na mnie?*

– Lubię, kiedy zioła gotują się w winie – powiedział Ky-lhar. – A jeszcze bardziej, gdy nasiakają nimi bandaże. Ale najbardziej lubię je pić. Visander kochał wino, nie? Coś tam pamiętam, heh. Znałem go nie od wczoraj.

Buntownik wyciągnął zza pasa małą, ciemną buteleczkę, którą otworzył jednym ruchem. Zapach winorośli natychmiast wypełnił całą przestrzeń. Z lekkim szarpnięciem podszedł do odciętej głowy i ustawił ją na czarnym pieńku. Oblał wszystko winem spływającym po zimnej powierzchni. Przez chwilę wpatrywał się w oczy, które nic już nie widziały.

– Spragnionemu nie odmówię – rzucił, łapiąc się za opatrunek przesiąknięty krwią. – Dowódca chciał odzyskać to, co stracił, ale nieco się przeliczył. Jedyne, o czym myślał, to o tym jak mnie zabić. Tylko w ten sposób mógł zaskarbić sobie przychyłność króla. A jak się okazało, nie był w stanie przewidzieć mojej błyskotliwości. Popatrz, no tylko. – Buntownik zatrzymał się na chwilę, jakby rozważał, czy powinien kontynuować. – Miał na sumieniu więcej niż wystarczająco, żeby zostać odsuniętym od obrad dywanu. Lubił go, w przeciwieństwie do tych, którzy przy nim zasiadali. Ale Visander nigdy nie dostrzegał prawdziwego kosztu własnych decyzji. Zginął, bo nie rozumiał, że ta gra nie toczy się o jego honor. – Błyskawicznie sięgnął po nóż

inkrutowany rubinami i przeciął gruby sznur, który wiązał Migara, uwalniając go, ale nie bez konsekwencji. W trakcie cięcia, ostrze prześlizgnęło się po dłoni więźnia, zostawiając na niej głębokie, krwawe ślady w ramach ostrzeżenia. – Zamierzam cię oszczędzić, ale... – Potrzebował chwili, żeby zebrać myśli, wiedział, że słowa, które zaraz padną, nie będą zwykłym rozkazem. Ta decyzja miała zaważyć na przyszłości całego Gjaladenu. – Udasz się do Grozmigradu i przekażesz tę wiadomość lordowi Xolorianowi. – Podszedł i wyszeptał ją do ucha, by nikt poza nimi nie był w stanie jej usłyszeć. – Jeśli stchórzysz, jeśli nie dotrzesz tam dość szybko... Wtedy zginą tysiące niewinnych ludzi, którzy nie mają nic wspólnego z królewskimi intrygami. Niezależnie od tego, gdzie się ukryjesz, Hjalkan cię odnajdzie by zrozumieć, co tutaj zaszło. Nie weźmie cię w niewolę, ale sam wiesz najlepiej. Te jego sowy, śledzące każdy ruch, zjedzą cię na miejscu, zmieniając twoje ciało w zapomnienie. No, to by było na tyle. Ruszaj.

Olbrzym przytaknął, biorąc to sobie do serca. Poranek powoli rozjaśniał horyzont. Wschodzące słońce odbijało się od pokrytych śniegiem szczytów gór. Rozlewało na niebie odcień krwistoczerwonego blasku. Ledwo wszedł na konia, ale zanim dosiadł zwierzę, złapał się za udo, czując przeszywający ból. W chłodzie wstającego dnia targnął dłońmi rzemienne lejce i pognął w głąbię lasu. Ostatnie strugi światła pochłonęła skóra o odcieniu zamglonego brzasku. Rozpłynął się za zasłoną drzew jak widmo, a wilgotne brzegi liści były tysiącami świadków.

Po niedługim czasie w oddali ujrzał sztyl wiszący ponad drzwiami, którego nie widział nigdy wcześniej. Wiatr targał nim na boki, a ząb czasu ledwo nadgryzł nazwę. Tarczę i jej obręb wypełniał zakrzywiony pręt z wijącymi krawędziami. Nim zemdłał, wpatrywał się w ten obraz ze zdumieniem, a jego myśli błądziły gdzieś pomiędzy rzeczywistością

a halucynacjami wywołanymi stratą krwi. – Pod Krwawym Hakiem, czyli tam, gdzie Boga nie ma.

– Kurwa, wiedziałem – zagrzmiał, będąc przekonany, że droga prowadziła go donikąd. I odpłynął w nieświadomość gęstą strugą czerwieni.

„Nikt o tym nie słyszał, nikt o tym nie mówił. To ta cisza, która krąży wśród ludzi. Nikt o niej nie mówił, więc nikt o niej nie słyszał. Przez cały czas ze mną cisza.”

– *Piotr Górny*

Jak dwie krople wody

– Obcęgi, młotki, maski wstydu – wyliczał znużony Baris. Bez cienia zainteresowania w głosie mówił tak, jakby wypowiadał wyrok, a każde słowo rozchodziło się po sali jak skrzypienie trumny. Tron, na którym zasiadał, wykuto z czarnego kamienia w kształcie zaciśniętej pięści – takiej, co nigdy nie puszcza. – Rozżarzone szczypcy też się znajdują, jeśli wolisz ogień. Mam już dość tych rozmów o torturach, ale jakąś musisz sobie wybrać – ciągnął zimno. – Sam rozumiesz, kara nie może być łagodna. Ludzie wybierają pień katowski, bo wierzą w głos topora. Ty natomiast wślizgnąłeś się do moich komnat jak szczur i wykradłeś list, ponieważ ktoś ci to zlecił, prawda? To nic nie da, jeśli nie potrafisz czytać – roześmiał się sucho, bez śladu radości. – A może chciałeś komuś go doręczyć? – Przechylił głowę. – Kłamstwa są jak ziarna. Kiełkują, ale nie zawsze tam, gdzie by się chciało. Wiesz, co mnie najbardziej rozżłościło? Ta poduszka. Mój sługa powiedział, że zostawiłeś na niej ślad. Wgłębienie, jak po śnie dziecka. Zasnąłeś. Zasnąłeś w moim łóżu, z listem w dłoni, jakbyś był u siebie. Gdyby to nie było tak żałosne, może nawet bym cię podziwiał. Co ty sobie, do cholery, myślałeś?

Spojrzał się na chłopca, lecz ten uporczywie unikał jego wzroku. Król Baris II Niebołamacz był blady jak ściany komnaty, gdzie zwykł zapadać w sen. Uchodził za jedyne, o którym mówiono, że ma dwa mózgi. Rządy pod jego czujnym okiem sprawiły, że większość Gjaladenu prosperowało jak nigdy dotąd. Mądrość, jaką w sobie zakorzenił, zapuszczała wszędzie macki – w świątyniach, w radach starszyny, w językach ludu. Była jak grzyb, co rośnie w cieniu i żywi się wszystkim, czego dotknie. Na podbródku gęsty zarost króla przypominał sosnowe igły, za to nikły na policzkach, wycinki z miękkiej kory. Jeśli oczy są zwierciadłem duszy, to on musiał mieć w niej pustkę. Białe jak nieprzetarty śnieg, jak garść palonego wapna, świeciły martwym blaskiem spod sklepienia czoła. Z ust sączyła się ciemność, a język leniwie wędrował po spierzchniętych wargach. Czuł, jak choroba zżera go od środka, ale przerażającej twarzy nie pokazywał nikomu. Trzymał ją ukrytą. Za maską z czarnego żelaza.

– Nie słyszałem dziś błagania – odezwał się z goryczą w głosie. – A ono potrafi czasem rozpalic ogień sprawiedliwości. Spróbuj, młodzieńcze.

Złote włosy chłopca mieniły się w świetle, wpadającym przez kratowane okna.

– Błagania nie zmiękczą twojego kamiennego serca – warknął, odsłaniając zęby w gniewnym grymasie. Skrępowane nadgarstki pulsowały bólem, przypominając mu o bezsilności. – Umarłem w chwili, gdy dałem się złapać. Więc o jakiej sprawiedliwości mówisz?! Tu jej nie ma. Nie w tym miejscu. – Jego głos stawał się coraz bardziej agresywny. – Gorączka w końcu zgaśnie... ale zaraza noszona w tobie nigdy. Nikt mnie do niczego nie wynajął. Jestem tylko złodziejem. Zwykłym chłopakiem, który uległ ciekawości. List wydawał się cenny. I łatwy do zabrania. Tylko tyle. Myślałem, że może odmieni mój los. Tacy jak ty, opływają

w wygody, których większość świata nigdy nawet nie dotknie.

– Milcz! – zagrmiał Nemtor Srebrnogrzywy, oburzony śmiałością chłopca. – Mój panie – dodał, zwracając się do króla z gniewnie zaciśniętą szczęką. – Pozwól, że nauczę go manier. Odetnę mu język, by już nigdy nie mógł mówić w ten sposób. To się nie godzi!

Nemtor był gwardzystą o surowej, wygolonej twarzy z wyostrozonymi kośćmi policzkowymi. Na jego napierśniku błyszczał dwugłowy orzeł – każda głowa z językiem wysuniętym, srebrnym, jakby spragnionym smaku krwi.

– Dość tego – przerwał stanowczo Baris. Był zmęczony tą dyskusją. Spojrzenie króla spoczęło na chłopcu. – Mam inne rozwiązanie. Możesz być jeszcze do czegoś przydatny. Dam ci wybór. Pomyślę nad zadośćuczynieniem. Jeśli się wykazesz, może znajdzie się dla ciebie miejsce w mojej służbie. Jeśli nie... Nemtor pozbawi cię języka.

Niebołamacz ziewnął przeciągle. Przesunął dłoń po miękkim materiale szaty, pozwalając palcom zanurzyć się w gęstym splocie czerwieni i srebrzystego futra. Przez talię opinał ją pas ozdobiony orlimi szponami, niemy znak władzy i bezwzględności.

– Wyprowadźcie chłopca – rozkazał swoim wardom. Z kolei ci uczynili to bezzwłocznie. Ich zbroje zaszumiały głucho, gdy ruszyli.

Chłopiec szedł w milczeniu, czując na karku ciężar spojrzeń. W głowie kłębiły się myśli, niespokojne i roztrzęsione. Spojrzał ukradkiem przez okno, gdzie coś poruszyło się na tle szarego nieba. *Czy to falkon, krążący nad zamkiem? Ten mityczny ptak, o którym szepetano przy ogniskach?* Przełknął ślinę, nie wiedząc jeszcze, czy był to omen śmierci, czy cudownie odwleczonemu losu.

Wychodząc z ogromnej sali tronowej, chłopiec uniósł jeszcze wzrok ku rzędom kolumn, których głowice rzeźbione były w kształcie rozpostartych skrzydeł. Wewnątrz panował niepokojący gwar – dworzanie i gwardziści czekali na jakiegokolwiek spojrzenie, gest czy słowo mogące przynieść im choć odrobinę uznania. Kamienne płyty podłogi lśniły w blasku świateł, a ornamenty na ścianach przypominały rozlane plamy krwi. Szare pasma kurzu osadzały się wzdłuż murów.

Tuż za progiem, w korytarzu, milczący wardowie stali niczym nieruchome posągi. Ich wzrok przenikał każdy ruch, czuwali, nie spuszczać oczu z niczego, co mogłoby zaburzyć spokój.

W głębinach zamku, na najniższej kondygnacji, gdzie ciemność była gęstsza, a powietrze cięższe, ciągnęły się lochy, które nigdy nie świeciły pustką. Mrok wypełniał każdy zakamarek, pochłaniając wszystkie ślady życia.

Nagle jakiś cień zabrał gwałtownie głos, jakby wydarzyło się coś złego.

– Mój Panie! Przy... – nie zdążył dokończyć, gdy dźwięk otwierających się żelaznych wrót, cięższych niż jakiegokolwiek grzechy, zagłuszył słowa gwardzistów.

Wejście do tego pomieszczenia przypominało otwieranie skarbcza. Ledwie strumień światła przecisnął się przez drzwi, a całą uwagę przywłaszczył sobie ten, na którego czekał król – Hjalkan, zwany Tropicielem. Jeden z czterech Burzowych Szponów, najwyższej rangi wojowników, stojących na czele zbrojnych konfliktów. Był gotów zabić za najmniejsze przewinienie, jeśli tylko w grę wchodziło imię króla.

Na jego prawym ramieniu spoczywała śnieżna sowa, Ewelis, z czarnymi pręgami na białym upierzeniu. Spojrzenie ptaka przepełnione zostało czujnością, choć sama nie pełniła roli strażniczki lasu. Zamiast czekać na nocne polowanie,

służyła jako zwiadowca – zawsze gotowa do obserwacji i tropienia. Nieruchome oczy nigdy nie zdradzały zamiarów, a jej obecność w terenie była trudna do wykrycia.

Na lewym ramieniu nosił naramiennik z ostrymi ćwiekami, łączący się z napierśnikiem i przechodzący aż do nagonic. Pancerz, grubszy niż zwykle, miał w centralnym punkcie wyryty wizerunek orła o złowrogim spojrzeniu. W świetle przybierał chłodny, stalowy połysk.

Hjalkan miał brązowe włosy, które swobodnie spływały na czoło, lekko przysłaniając twarz, oraz oczy w odcieniu ciemnej miedzi. W ich głębi, niczym w lustrach, odbijały się drobne zmiany otoczenia.

– Wasza Niebosiężność. – Zgiął się w ukłonie, a w jego wzroku mieszkła nawałnica. – Czy możemy porozmawiać na osobności?

Tropiciel był do cna wypłukany z jakichkolwiek uczuć. Zabijanie przychodziło mu równie naturalnie, jak złodziejowi poruszanie się w ciemności. Wymiana spojrzeń między nim a królem przypominała nieme porozumienie – obaj znali się od lat.

– Mój Panie! – Cień wtrącił się raz jeszcze i trzymał w dłoni kielich. Był sługą w średnim wieku, z jasnoszarymi oczami, które próbowały przekazać coś ważnego.

Wyglądał na zmartwionego. Gdy tylko zbliżył się do tłumu, cała odwaga zniknęła w okamgnieniu. Tym razem słowa utknęły mu w gardle. Wszyscy śledzili każdy jego ruch. Serce biło tak głośno, że zdawało się, iż każde uderzenie będzie słyszalne z kilku kroków. Przez chwilę ogarnął go paraliżujący bezwład, jakby nogi odmówiły posłuszeństwa. Potknął się, ale nikt nie zwróciłby na to uwagi, gdyby nie rozlane drogie, cierpkie wino.

Ogień w lampach oliwnych zaskwierczał, a płomienie za-
tańczyły w środku, wzbijając się jedynie po to, by za chwilę
opaść.

– Klyffenhydzie. – Baris zwrócił się do swojego Mistrza
Domu. – Nie zapomnij, dzięki komu tutaj jesteś. Wybijaj
swoje zęby, ale nie rozlewaj czegoś, za co inni płacą głową.
Nie marnotraw i nie zabieraj więcej mojego cennego czasu.
Mam ważniejsze sprawy, które czekają na to, aby je omówić.

Irytacja w nim narastała. Jedynie syk palącego się drewna
w kominku potęgował jego powściągliwość.

– Wasza Niebosiężność, ja w sprawie... odbierają poród!
– W końcu to z siebie wyrzucił. Przeszkodził po raz trzeci,
a na sali rozległ się pogłos szyderczego śmiechu, piętrzącego
się od dłuższej chwili. – Zapewniają brak powikłań, ale...

Król wstał niezgrabnie, jakby przymuszony.

– Ale? – zapytał, czekając na wyjaśnienia.

– Mają wątpliwości co do płci – odpowiedział Klyffenhyde,
zbliżając się, by mówić ciszej. – Wino niosłem, by uczcić
ten radosny dzień, pełen oddechów nowego życia. Wybacz,
panie. Myślałem, że to będzie dobra rzecz.

W jego oczach malowało się przerażenie, obawa, że słowa
nie zadowolą pana. Nigdy nie był pewny, w jakim humorze
zastanie władcę.

Baris podniósł się i obdarzył go niesmaczną miną, której
nikt na szczęście nie zobaczył. Chowała się za maską.

– Dziś powitamy następcę – odchrząknął, zatrzymując
się na chwilę w zamyśleniu. Skinął głową, odsyłając Mistrza
Domu. – Chodź, Hjalkanie. Porozmawiamy w ogrodzie. Sek-
woje dobrze na mnie działają. Mają w sobie coś kojącego.

Przekonanie króla, co do płci dziecka było zagubieniem,
pogonią za dziedzictwem i obawą przed upadkiem. Ćmą rwącą
się do światła. Wydawało mu się, że czekał całą wieczność,
by poderwać się pod same chmury. A gdy już zawisł ponad

nimi, nie miał wątpliwości – właśnie to było jego przeznaczeniem. Władza przypominała rozbieżność, coś wyraźnego, możliwego do nazwania. Miał ją i czuł jej wielki ciężar. Inni widzieli w niej jedynie źródło korzyści, z którego mogą czerpać. Ale na jak długo?

Kiedy dotarli, słońce ogarnęło wszystko wokół, malując niebo na czerwono. Promienie światła tańczyły na liściach drzew, tworząc wirujące plamy na ziemi.

– Władza jest jak młyn – oznajmił Baris. – Działa, ale w jednej chwili może przestać.

Zdjął maskę, dając skórze chwilę wytchnienia. Przy Hjalkanie czuł się w miarę swobodnie. Jego skóra, popękana niczym wypalona ziemia, miała barwę bladego wosku. Zamiast rumieńca widniały plamy o zgniłozielonej barwie, a wargi, coraz bardziej przypominające zgorzel, wykrzywiały się w bolesnym grymasie. Czoło szpeciły rany, z których sączyła się ropa, spływając ku krawędzi oczu.

– Zgaduję, że nie zmieniłeś swoich upodobań – dodał z lekkim uśmiechem, który na moment prześlizgnął się po twarzy. – Długo cię nie było. Za długo.

– Nie zmieniłem – odpowiedział Hjalkan. – Wciąż to samo: zderzające się metale. Ten dźwięk, kiedy się łączą, tworzą jedność. Lubię walki. No i kobiety – chyba je najbardziej. Choć... może nic tak nie daje satysfakcji jak odkrywanie prawdy, rozwiązywanie jakiejś tajemnicy.

– Mówią, że twój tytuł to przemoknięty ohydą odpad moralności – rzucił król. Podszedł, chwycił go za ramię, z którego odleciała sowa. Chwilę wcześniej Tropiciel szepnął jej coś do ucha, a ta huknęła głucho. – Nie przejmuj się tym. Tacy nie potrafią zrozumieć, czym naprawdę jest twoja funkcja.

Baris odsunął się od niego i skierował wzrok ku niebu. Wyjął sztylet z gładką rękojeścią, który nosił przy pasie, i niedbale podrzucił go w powietrze.

– Poza tym nie chcę więcej słyszeć o stałych kochankach – mówił, wyrażając swoje niezadowolenie. – Nie wdawaj się w nic poważnego i zadbaj o to, by nie było żadnych świadków. Kobiety będą twoją zgubą, jeśli jeszcze raz pozwolisz sobie na zaangażowanie. Mężczyźni rządzą światem, ale to kobiety rządzą mężczyznami. Masz się ich wystrzegać jak zarazy. Inni, by już wachali szubienice. Jeśli coś takiego się wyda, a ja nie kiwnę palcem to...

– To zarówno prostaczkowie, jak i wysoko urodzeni będą chcieli mojej śmierci. Wiem.

Baris skinął głową ze zrozumieniem.

– Ślubowałeś. Nie zapominaj o tym.

– Tak – wykrztusił Hjalkan, chociaż brzytwa łatwiej prze-dostałaby się przez jego gardło.

– Nie czuję przekonania w twoim głosie.

– Tak, mój panie – powtórzył głośniejsze, starając się nadać słowom większą siłę.

– Długo nie otrzymywałem od ciebie żadnych wieści. Nie wysłałeś żadnej sowy. Mam nadzieję, że nie przynosisz wyłącznie tych paskudnych.

– Niestety – odpowiedział smutnym tonem Hjalkan, pogładzając kilkuniedniowy zarost. – Kylhar przeprawił się na drugi brzeg dorzecza. Uciekł tam, gdzie go poniosły oczy – na Poczerniałą Grań. Wysłałem za nim ludzi, ale Buntownik połączył siły z takimi samymi jak on. Z tym klanem Bładoskórych, czy jak ich teraz nazywają. Mają w sobie nieokiełznaną dzicz. Nikt nie przeżył, oprócz Najemnika z Gratenhag. Chyba już kiedyś o nim wspominałem.

Niebołamacz westchnął ciężko.

– Każdego dnia wyczekuję, kiedy miasto zaśnie – oznajmił, przykładając sobie nóż do gardła. – Dopiero potem próbuję zasnąć. Zawsze śpię ostatni. Wspomnienia nie dają mi spokoju, a na wspomnieniach niczego się nie zbuduje.

Jedno cięcie mnie od niego dzieli. Od tego spokoju... snu. – Przycisnął nóż odrobine mocniej. – Kiedyś myślałem, że zabijanie uczyni z nas dorosłych i dojrzałych mężczyzn. Popatrz no... zrobiło z nas potwory.

Na Hjalkanie nie zrobiło to wrażenia. Nawet nie drgnął, choć zgadzał się z królem w tej sprawie bardziej niż w jakiegokolwiek innej. Wiedział, że panu nic nie grozi – to była tylko gra. Wypluł coś pod nogi, co wcześniej wydłubywał z między zębów.

– Musieli oszczędzić Najemnika, bo był zdrajcą – zaczął król. – Ułożył się z tymi dzikusami.

– Trochę potrwa, nim się upewnię i go przesłucham – odrzekł lodowato Hjalkan. – Nie sądzę jednak, by stał się jednym z nich. Chociaż Migar biję się dla złota, nie jest żadnym zdrajcą. Nie walczyłby dla takich jak oni. Honor ma dla niego znaczenie. Nie tknie kobiet ani dzieci. Zdążyłem się na nim poznać przez te lata.

– Wszyscy nimi są – odparł Baris. – Zdrajcami... – dodał po chwili. – Nie lekceważ mnie, Hjalkanie. Przy mnie najgrzeczniejszy pies pójdzie w ślad za innymi, zatopi w złości kły i wyciągnie ochłap mięsa. Myślę trzeźwo. Mój osąd nie jest zaburzony. Znam się na tym. – wtrącił z pewnością. – Na nich. Na ludziach. To, jak się zachowają, jakie decyzje podejmą. Czuję to w kościach. Mogłeś mu obiecać złote góry. Mogłeś obiecać to wszystkim najemnikom. Może wtedy walczyliby jak lwy. Teraz już na pewno nie zasną. Za dużo zmartwień.

– Obiecałem rzekę, mój panie. Dosłownie.

– Najwidoczniej za małą i za wąską.

– Zgubiłem go. Straciłem z oczu. Tamtego dnia za bardzo skupiłem się na wronie, o której już kiedyś ci mówiłem. To mój błąd i zamierzam go naprawić. Dowiem się, jeśli Kylhar coś knuje.

– A ty wciąż o tej wronie? Przestań z tą legendą, to tylko brednie. Nie będę więcej o niej słuchał.

Burzowy Szpon doskonale zdawał sobie sprawę, że w szczególności Niebołamacze będą za wszelką cenę unikać rozwiązania zagadki mgławic. Świat, w którym żyli, osadzony w mroku i tajemnicy, narodził się równocześnie z nimi, z purpurową mgłą spleającą się od zawsze z ich istnieniem. Te ulotne zjawiska nie stanowiły jedynie części obłoków. Były nierozzerwalnie związane z tożsamością, stanowiąc część ich duszy. Zmiana była niepojęta, a odkrycie całkowitej prawdy o mgławicach mogło zniszczyć podstawy wszystkiego, co do tej pory znali i stworzyli.

Zrozumieli jednak, że to, co przez wieki było nieosiągalną, niepojętą zagadką, stało się kluczem do przeobrażenia starego porządku. Mgławice otulające niebo stały się narzędziem, które pozwoliło im wprowadzić zmiany. Zaczęli podważać fundamenty wierzeń, od wieków kształtujących życie ludzi.

Wiarę w starych bogów, zwłaszcza w Mokosz, matkę ziemi, opiekunkę płodności, uznawali za przestarzałą i ograniczającą. W jej miejsce zaczęli stawiać nowe przekonania. Te nieziemskie siły nie były już tylko bożkami do czczenia, ale czymś znacznie potężniejszym. W wyniku tego, co zaczęli nazywać „Odnową”, stopniowo zatarli wpływy tradycyjnych kapłanów, zastępując ich swoimi własnymi. W miarę tego, jak nowa doktryna rozprzestrzeniała się, zaczęli zdobywać nowych wyznawców, którzy odrzucili wiarę w przestarzałe bóstwa na rzecz nowej, bardziej pragmatycznej filozofii.

Hjalkan wiedział, że ci żyjący pod tym wpływem przez pokolenia nie chcieli żadnych zakłóceń. W oczach zwykłych ludzi, mgławice były nie tylko widocznością na niebie, ale metaforą stabilności świata, w którym żyją. To one nadawały rytm ich istnieniu, ich wierzeniom, ich życiu. Jak mogliby

teraz stawieć czoła prawdzie, która rozbiłaby ten dawny porządek? Jak mogliby zaakceptować fakt, że za tymi mglistościami skrywa się inny świat, czyli coś, co wymagałoby od nich przestrojenia całej wizji rzeczywistości.

Nie łudził się – dla Niebołamaczy zmiana oznaczała zagładę. A dla niego, w tej cichej walce o prawdę, jedynym wyjściem pozostała cisza. Ale co z ciekawością? Jak miał ją stłumić?

Król, zmęczony ciężarem milczenia, w końcu postanowił je przerwać. Przez długie chwile jego umysł błądził wśród niewypowiedzianych myśli.

– Wiesz, dlaczego otaczam się takimi, którzy mają zimne serca? – Nie dał mu czasu na odpowiedź. – Ponieważ odświeżają moją pamięć. Odświeżaj mi ją dalej.

Hjalkan nie zareagował.

Szli, aż dotarli do ogrodu. Był on poprzecinany gęstą siecią ścieżek, wijących się wśród bujnej roślinności. Prowadziły one do centralnego punktu, majestatycznego posągu Valakreda, boga Bólu i Urozmaiconych Cierpień. To miejsce, gnieźdzące się w Syvandis, stanowiło fundament wiary przez wieki krzepiącej serca ludów. Lordowie nieustannie wznosili zwały kaplic, by poddani mogli czcić jego imię. Wyrzeźbiony ze skał starszych niż sama historia, opowiadał o mężczyźnie, który zrodził się z mgławic, stając się symbolem życia i śmierci.

Tętniło tam życiem, obecnością. W powietrzu unosił się zapach karminowych kwiatów – ostry, a zarazem słodkawy. Woda z fontanny spływała w kaskadach do sadzawek. Im głębiej, tym gęściej rosły głogi, a sam ogród zwieńczały dwa olbrzymie starodrzewa. Jedna z sekwoi wyciągała swe konary w stronę jądra cytadeli, rzucając cień na dworzanekę w kobaltowej sukni.

Ciepły powiew wiatru i wilgoć niosły ze sobą trudny do zniesienia ciężar potu. Tropiciel przetarł czoło, otwierając usta.

– Wrogowie zaczynają się sprzeciwiać – stwierdził. – Oficjalnie nie chcą żadnych kłopotów, ale jeśli się zjednoczą...

– Źle to wygląda – przyznał mu Baris. – Ale wiesz, jak to jest z wrogami. Płynie w nich ogromna mądrość, dopóki nie wypłynie krew.

– W końcu się zbiorą, przegrupują i uderzą na nas z całą siłą. Stają się niebezpieczni. Problem trzeba zdusić w zarodku. Twój brat powinien się tym zająć dawno temu.

– Ja za to zbieram myśli i uważam, że są niebezpieczniejsze od nich wszystkich – odparł Baris z niedopuszczającym sprzeciwu tonem. – Poza tym, decyzja o tym, co spotka tych, którzy knują za plecami, już zapadła. Mój stary druh, lord Xolorian, będzie pierwszy. Wysłałem mu słodką wiadomość. Obiecałem jego córkę Zazdimowi. Trochę cierpliwości, a upieczemy dwie pieczenie na jednym ogniu. Zresztą, mój brat jest teraz zajęty ściganiem Buntownika.

– Zazdimowi? – zdziwił się Hjalkan. – Przecież jest ze sto razy starszy...

– I tyle samo razy mądrzejszy. Jego żona nie żyje. A to małżeństwo nie będzie stanowiło dla nas zagrożenia w przyszłości, która teraz stoi pod znakiem zapytania.

– Przymusowe małżeństwa nie pomogą, jeśli zwęszą twoją słabość.

Baris zmarszczył brwi i spojrzał na niego z niezadowoleniem. Zauważył, dokąd zmierza rozmowa, lecz postanowił go zbyć, próbując wziąć na plewy.

– Jaką znowu słabość?

– Nie jest tajemnicą, że odkąd zmarł twój pierworodny... – Hjalkan poprawił swoje włosy i zaczął od początku. – Twój syn był następcą tronu, a teraz gnije wraz

z nadzieją na sprawowanie dalszych rządów. Choroba, która go pochłonęła... Wielu odbierze ją inaczej, niż byśmy tego chcieli. Już szepczą, że to my jej pomogliśmy. Jeśli twemu bratu nie powiedzie się w poszukiwaniach, to nasz problem będzie przypominał głaz, który stanął w gardle. Przyjdą po nas. Po twój tron. Pochodzenie jest ważne, a ja go z pewnością nie mam. Moje jest za skromne, by upomnieć się choćby o śliski od błota kamień. – Rzucił, zmieniając tok rozmowy. – Urodziłem się w burdelu. Nawet nie wiem, jakim. Nawet nie wiem czy chcę wiedzieć. Okazało się, że moja matka nie była moją matką. Wiem tylko, że darzyła mnie czułością. Zwłaszcza w nocy, gdy nie było świadków. – Przyjrzał się staremu drzewu. Wydawało mu się, że zobaczył w nim wyrzeźbioną twarz. Przetarł oczy. Król słuchał tej historii nie po raz pierwszy i z pewnością nie ostatni. Lubił ją. – Darzyła, dopóki nie przebiłem jej oka pordzewiałym prętem. Miałem wtedy dziewięć lat. Może dwanaście. Kto by to pamiętał?

– Ja pamiętam, że zdecydowałem się zwolnić dowódcę Visandera ze służby. Nie dostosował się do wydanego mu rozkazu.

– To nie przypadek, że jego także wysłałem – wyjaśnił z powagą Hjalkan. – Rozkazy... Nie zwolniłeś go z przysięgi za to, że ich nie wykonał. Zwolniłeś go za to, że wydał takie, które zostały wykonane. Prawda?

– Zachował się jak głupiec. To on zabił tę niewinną dziewczynkę. Dźgał ją nożem jak tłustą kielbasę za to, że przyniosła tę kielbasę, ale zimną. Gdy już leżała martwa, chciał jej wyciąć język. Wszystko przez to, że raz się sprzeciwiła. Biedna, pewnie miała dość. Tkwiło we mnie też przeczucie, że musiał ją gwałcić. To nie przystoi gwardziście, tym bardziej dowódcy. Mam nadzieję, że teraz gnije w jakichś bruzdach zamarzniętego błota.

– Założyłem, że tam zginie – odrzekł stanowczo Tropiciel. – Powtarzał, że chce naprawić swój błąd, że jest gotów zginąć w twojej służbie. No i zginął. Na Poczerniałej Grani. Miałem jednak nadzieję, że zanim to nastąpi, przyniesie nam głowę Buntownika. Niestety, zamiast tego to Ky-lhar pozbawił go życia.

Baris nie chciał już dłużej o tym rozmawiać. Oddech miał ciężki i nierówny. Każde niepowodzenie kładło się na jego ramionach jak chłodne, żelazne kajdany, a wzrok utknął na potężnych murach wznoszących się przed nim.

Ciemne cegły, z których je wzniesiono, miały w sobie coś nieprzyjemnego. Wilgoć wsiąkała w ich szorstką, popękaną powierzchnię, nadając jej wygląd gnijącego mięsa. Ze szczelin w konstrukcjach sączyła się czarna, mazista ciecz. Głęboki rów otaczał twierdzę niczym pogrzebowy pierścień, zimny, cuchnący śmiercią. Wypełniała go gęsta, martwa substancja, nieruchoma jak zastygły воск, spływająca leniwie w stronę Vistuli, rzeki najdłuższej, a zarazem najbardziej kapryśnej, zmiennej z dnia na dzień.

Z zachodniej strony miasta rozciągał się port, pełen zgiełku i ludzi nieświadomych intryg kryjących się w cieniu murów twierdzy. Most łączący ją z resztą miasta był pomostem między dwoma światami: tym, który władał, i tym, który cierpiał pod jego butem. Kamienny kolos spoczywał na potężnych filarach, wyrzeźbionych w kształcie pięści. Te z kolei, zatopione w brudnym nurcie wody, wyglądały, jakby zaciskały się na samej ziemi, gotowe zdławić wszystko, co się im sprzeciwi. Konstrukcja zdawała się szeptać opowieści o represjach i bólu – o stabilności, która trwała tak długo, jak długo twierdza pozostawała nietykalna.

Król na moment pogрузił się w ciszy i wyciągnął rękę w stronę starego drzewa, kąpiącego się w promieniach słońca. Gdy dotknął kory, poczuł na skórze przyjemne ciepło.

– Ojciec zawsze mi powtarzał, że niezależnie od tego, czego bym nie szukał, zawsze powinienem patrzeć na to sercem, nie oczami – opowiadał. – W tym próchnie inni widzą nieśmiertelność. Coś, co zostanie długo po nas. Oceniają je przez wygląd, a dla mnie jest nieważny. I właśnie tym się różnie od lwiej części tego dworu. Widzą tylko zewnętrzną fasadę, a ja wiem, że to, co prawdziwe, ukryte jest głęboko w środku.

Hjalkan ziewnął, jakby już nic nie mógł wnieść do tej rozmowy. Od niechcienia oparł się o drzewo.

– Gdy patrzę na ten ogród, wraca do mnie pewne wspomnienie – zaczął, po raz kolejny zmieniając ton rozmowy. – Spotkałem kiedyś drwala. Był w stanie ściąć każdy pień wśród zielonych ścian lasu. Rozmawiał z drzewami, twierdził, że wie, kiedy korona klonu szumi o burzy, a kiedy dąb czuje nadchodzący mróz. Pewnego dnia udał się głęboko w las, by powalić stary, wielki buk o pniu lśniącym niczym srebro. Wierzył, że tylko z niego zbuduje chatę zdolną przetrwać wszystkie zimy. Kiedy jednak stanął przed drzewem, poczuł dziwne uczucie. Jako drwał znał każdy szmer lasu, ale tego dnia w powietrzu czuł coś niezwykłego. Buk zdawał się patrzeć na niego swoimi gałęziami, spopielonymi od słońca, jakby rozumiał, co zamierza zrobić. Mężczyzna chwycił topór, ale jego ręka drżała. Zatrzymał się na chwilę i w tej ciszy usłyszał szept, który niósł się z wnętrza drzewa: „Nie tnie się nas bez powodu, młodzieńcze. Pamiętaj, że las i człowiek to jedność. Jeśli zabierzesz jedno, musisz dać coś w zamian.” Zawahał się. Wtedy przypomniał mu się starzec, który prowadził go przez las w dzieciństwie i opowiadał o naturze. Drwał zrozumiał. Odsunął topór, postanawiając, że zamiast ściąć drzewo,

zamieszka w lesie. Zamiast niszczyć, stał się częścią jego pieśni. I choć nie zbudował chaty z tego bukowego drewna, serce znalazło spokój, a natura zawsze witała go z otwartymi ramionami. Tak oto stał się opiekunem lasu, a las opiekunem jego duszy.

Król był pod wrażeniem, lecz rzeczywistość szybko przywróciła go do twardej myśli o nadchodzących kłopotach.

W tym momencie wrzaski bestii, krążącej nad warownią, zaczęły cichnąć, aż zniknęły zupełnie. Należała ona do Hjalkana, który trzymał ją na straży. Król obrócił się i ujrzał Klyffenhyde'a pędzącego w ich stronę niczym huragan. Kurz unosił się w powietrzu, osiadając na Mistrzu Domu i jego granatowym aksamitnym wamsie. Na fałdzistych rękawach widniały zaschnięte plamy po winie.

– Panie, wysłuchaj mnie po raz ostatni! – zawołał błagalnym tonem, ledwie łapiąc oddech. – Twoja pani żona urodziła! Niebosięzna Veyris czeka, byś powitał potomstwo. Poród przebiegł bez powikłań, ale... jest i druga, zła wiadomość. Właściwie wiadomości. – Zakłopotał się jeszcze bardziej niż zwykle. – Jakby to ująć... Nie będzie w stanie rodzić więcej. A teraz trzeba się martwić podwójnie.

– Nie rozumiem – odparł Baris. – Mów, co się dzieje z moim synem? I co z moją królową? Masz zadbać, by jak najszybciej wróciła do zdrowia, rozumiesz? Ostatnio mówił tylko w zagadkach. Sądź muła według chodu, według pracy – służyć. Mówi Ci to coś? – Zacisnął palce na masce, którą trzymał w dłoni. – Przekonam się na własne oczy.

Klyffenhyde był wyraźnie przerażony. Obawy wypełniały go całkowicie. Czuł na plecach oddech Tropicielea i jego obojętność w kwestii odbierania życia. Bardzo szybko znaleźli się przed komnatami. Strzegł ich Tasak. Chłop jak dąb, z bielmem w oczach i twarzą pokrytą zaspą piegów. Pod nimi ciągnęły się bruzdy, wyrzeźbione przez długie lata

walki. Miał na sobie charakterystyczne skórzane spodnie z gronostajów oraz pas z miedzianą klamrą.

– Halt! – zawołał, nie za dobrze widząc zbliżających się gości. Ręce złożył nad głowicą ostrza, którego sztych wbijał się w posadzkę. Nie wywoływał pozytywnych bodźców. Intensywnie mrużył oczy, do momentu, aż zauważył czerwoną szatę króla. – Wybacz, panie. Nie widzę dalej niż na odległość wyciągniętej stali.

– Dobrze, że chociaż umiesz nią zabijać. – Wyraz twarzy króla był naprawdę sympatyczny. – Wszyscy zaczekajcie. Nie wchodźcie, choćby nie wiem, co się działo.

W komnacie, gdzie odbywał się poród, panował półmrok. Król wszedł do środka, a wewnątrz Veyris czuwała nad kolebką. Jej krzaczaste brwi wyglądały jak dwa wiosła przy zachwycającej łodzi, spływającej w głębie wodospadów. Oczy miała szmaragdowe – błyszczące, kuszące do kradzieży. Na palcu królowej lśnił pierścion z rubinowym oczkiem, a rude włosy spływały swobodnie, odzwierciedlając barwę ognia. Jej cera przypominała porcelanę, a głos niósł w sobie wieczną nutę rozmarzenia. Słysnęła z hodowli białych, pachnących kwiatów, których owoce miały kształt drobnych woreczków.

– Spójrz na to wcielenie niewinności – powiedziała cicho. Łzy spływały po jej policzkach, mocząc zaschnięte wargi. W dłoni ścisnęła naszyjnik z nasion, zatopionych w złotym pyłe – starodawną ozdobę, będącą częścią rytuału mającego zapewnić szczęście nowo narodzonemu dziecku.

Zupełnie inaczej wyglądał los tych, którzy przychodzili na świat z nieprawego łoża. Nieślubne ciążę i niechciane dzieci budziły w ludziach niemal morderczą obsesję. Wychowywanie potomka noszącego piętno hańby uchodziło za karę gorszą niż śmierć z głodu czy zamarznięcia. Najczęściej te niewinne istoty kończyły życie na dnie morza lub trafiały do lasów – porzucone na pastwę wilczych instynktów.

Sama chęć życia nie wystarczała, by przetrwać w świecie brutalnej rzeczywistości. Wojenne sieroty nie miały krewnych, nie miały też żadnych praw. Dzieci uważane za „grzeszne owoce” nie mogły niczego dziedziczyć. Dziewczynki często musiały wybierać pomiędzy rzuceniem się ze skały a pracą w domach rozpusty, dołączając do samotnych, owdowiałych kobiet. Chłopcy natomiast często zajmowali się uprawą czyjejś roli albo poznawali sztukę wojny. Dzieci Veyris były jednak bezpieczne. Ich pochodzenie nie budziło wątpliwości. Chyba że... stałyby się przeszkodą.

Baris wsłuchał się w jej słowa, po czym spojrzał najpierw na odciętą pępowninę, a potem na odbicie w polerowanym brązie. W lustrze dostrzegł służącą, zmierzającą do oględzin. Westchnął głęboko, ale w jego oddechu nie było radości, raczej mieszanina ulgi i niepokoju. Przytulił niemowlę do piersi i dokładnie je obejrzał.

– To dziewczynka! – zawołał z niedowierzaniem, nie kryjąc emocji. Nawet nie brał tego pod uwagę – wszystkie jego ambicje wiązały się z narodzinami chłopca.

W wyobraźni Barisa malował się obraz syna, tego, który miał objąć po nim tron, i zdjąć z jego barków ciężar. Ale teraz... wszystko się zmieniło. W sercu króla narastała gorycz, rozczarowanie rozpełzło się po myślach niczym jad. Z każdą chwilą coraz wyraźniej dostrzegał, jak perfidnie los z niego zadrwił. Syn, którego tak pragnął, istniał już tylko jako widmo – przysłonięte przez obecność dziewczynki. Jego spojrzenie stawało się puste, niespokojne, jakby wzrok błędził gdzieś poza granicą rozsądku.

Znał ten stan. Kiedy umysł stawał się zbyt ciężki, a emocje kipiały, potrzebował upuszczenia krwi. Dla innych to była lecznicza praktyka. Dla niego – rytuał oczyszczenia. Ukojenie dla duszy ogarniętej chaosem.

– Tak – odezwała się Veyris. Głos ukochanej brzmiał, jakby płynął zza grubej ściany bólu. Było w nim więcej przerażenia niż radości. – Sangomari... Krew z twojej krwi.

Baris zatrzymał się na moment. Próbował opanować burzę, która w nim szalała. Wiedział, że nawet jeśli dziewczynka przyszła na świat jako dziedziczka z prawego łóża, to jej życie nigdy nie będzie wolne od zagrożeń. Wystarczy, by stała się przeszkodą w cudzych ambicjach i zostanie celem.

– Nie zdajesz sobie sprawy, jaką burzę wywołałaś! – obwinił ją oziębło, choć nie miała wpływu na płeć dziecka. – Od teraz jej życie będzie w nieustannym niebezpieczeństwie. Gdy wieść się rozniesie, wojna stanie się tylko kwestią czasu. Przeciwnicy nie zawahają się wykorzystać każdej okazji, by zakwestionować prawa do tronu. Teraz będą mieli jeden powód więcej. Gdyby urodził się syn... nikt nie ośmieliłby się podważyć jego sukcesji. – Spojrzał jeszcze raz na córkę, nim ciemność ponownie zatruła mu umysł.

Veyris zrozumiała, że nie zdoła go uspokoić. Czuła się jak drobny kamyczek, niesiony wartkim nurtem jego gniewu.

– Dwa powody – poprawiła go drżącym głosem. – To bliźniaczki.

Król zamarł. W tej samej chwili służąca wprowadziła kolejne zawiniątko – niemowlę ssące sosulkę z mlekiem, owinięte w miękką pościel.

– Wyglądają jak dwie krople wody... – zauważył. Gdy się zbliżył, Veyris oparła się o jego pierś, szukając wsparcia, którego nie potrafił już jej dać.

Dzień kładł się do snu. Cienie wieczoru oplatały komnatę, zwiastując nadejście konsekwencji. W powietrzu wciąż unosił się zapach noworodków, a miasto – gdy tylko rozbłyśnie świt – wypełnią szepty, plotki i osady. I ci, którzy zechcą podważyć prawa dziedziczenia.

– Tak, mój panie – wyszeptała przez łyżę. – Sangomari i Santori Niebołamacz. Nadciąga nawałnica.

W umyśle Niebołamacza krystalizowały się już plany. *Hjalkan będzie miał ręce pełne roboty* – pomyślał. A ten już czekał za drzwiami niczym zwierz, głodny zbliżającego się polowania. Hartował się jak stal, choć ciekawość prowadziła go gdzie indziej.